

**NORA ROBERTS**

**MROŹNY GRUDZIEŃ**

**MacGregorowie**

Zmuszeni do emigracji po przegranej wojnie z angielskim królem MacGregorowie osiedli w Bostonie, Ian, bohater tej książki, jest potomkiem pierwszych emigrantów.

Podobnie jak wszyscy członkowie tego niepokornego rodu nade wszystko ceni wolność, honor i dobre imię. I tak jak oni wpada w tarapaty, gdy próbuje bronić tych wartości. Wróg wciąż jest ten sam — przekłeci Brytyjczycy, których chciwe łapska sięgają aż za ocean, Ian wraz z innymi stawia im opór, ranny w walce, musi uciekać. Los wiedzie go do zagubionej w lasach chały, gdzie z ojcem i braćmi mieszka Alanna. Jest połowa XVIII wieku, sypie śnieg, zbliżają się święta...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nazywał się MacGregor. Powtarzał to sobie w myślach, zaciskając kurczowo dłonie na wodzach. Niewyobrażalny ból przeszywał mu ramię, jakby ktoś raz po raz wbijał w nie rozgrzane do czerwoności ostrze sztyletu. Wokół wiał zimny grudniowy wiatr i padał śnieg.

Koń niósł go sam, podążając krętymi ścieżkami wydeptanymi przez Indian, jelenie lub białych ludzi. Wokół nie było żywej duszy. MacGregor czuł zapach świeżego śniegu i sosnowej żywicy, słyszał uderzenia kopyt swojego wierzchowca. Zaczynało się ściemniać i cały świat zdawał się zapadać w sen, kołysany szumem wiatru w gałęziach drzew.

Instynktownie czuł, że znajduje się z dala od hałaśliwego i pełnego ludzi Bostonu, z dala od cywilizacji i ognia w kominku. Był bezpieczny — tak mu się przynajmniej wydawało. Śnieg niedługo zasypie ślady końskich kopyt i krople krwi nie będą już znaczyły drogi jego ucieczki.

Bezpieczeństwo nie było jednak tym, na czym najbardziej MacGregorowi zależało. Chciał za wszelką cenę ocalić życie, ale tylko z jednego powodu. Tylko będąc żywy może dalej prowadzić walkę, a on ślubował na wszystko, co mu drogie, że będzie walczył, dopóki nie wywalczy wolności.

Mimo ciepłego okrycia ze skóry i futer dygotał z zimna, które czuł zarówno wokół siebie, jak i w sobie. Pochylił się nad końską szyją i uspokajająco powiedział coś po celtycku. Mężczyzna miał skórę wilgotną i gorącą od pulsującego bólu, ale krew zdawała się zamarzać mu w żyłach niczym szron na nagich gałęziach rosnących wokół drzew. Oddech brnącego w coraz głębszym śniegu konia zmieniał się w zimnym powietrzu w białe, poszarpane obłoczki. MacGregor zaczął modlić się w duchu, jak modli się człowiek, którego krew wypływa z otwartej rany. Modlił się o życie.

A przecież były jeszcze bitwy, które chciał stoczyć. Nie może umrzeć, zanim nie podniesie szabli w boju.

Kiedy oddychając z trudem oparł się bezwładnie o końską szyję, zwierze zarżało, jakby chciało dodać mu otuchy. Wyczuwało nie tylko woń krwi, ale i niebezpieczeństwo, które groziło jego panu. Kierując się własnym instynktem przetrwania, ruszyło pod wiatr, na zachód.

Ból nieco złagodniał. Jak powracający sen ogarniał jego ciało i umysł. MacGregor miał wrażenie, że gdyby tylko zdołał się obudzić, ból zniknąłby, jak każda senna mara. A sny miewał gwałtowne i wyraźne. Walczył w nich z Brytyjczykami o wszystko to, co mu skradli; chciał odzyskać swe dobre imię i ziemię, bić się o to, co dla każdego MacGregora jest najważniejsze i za co każdy gotów jest zginąć.

Przyszedł na świat, kiedy toczyła się wojna. Byłoby całkiem naturalne, gdyby rozstał się z życiem również na wojnie.

Ale jeszcze nie teraz, wyprostował się z wysiłkiem. Jeszcze nie teraz, gdy walka dopiero się zaczęła. Przypomniawszy sobie piękną scenę, wspomnienie to dodawało mu sił. Mężczyźni odziani w skóry i pióra, o twarzach poczernionych przypalonym korkiem i sadzą, zakradają się na statki Dartmouth, Eleanor i Beaver. Byli to całkiem zwyczajni ludzie — kupcy, rzemieślnicy, studenci. Niektórych do działania popchnął wypity alkohol, innych zaś świadomość szczytnego celu. Pamiętał trzask rozbijanych skrzyń ze zniechęconą angielską herbatą, a potem miły dla ucha chłupot, kiedy

roztrzaskane skrzynie wpadały do zimnej wody przy nabrzeżu bostońskiego portu. Podczas odpływu morze wyrzuciło je na brzeg, gdzie długo leżały niczym sterta bezużytecznych desek.

Ryby dostały wielką filiżankę herbaty, pomyślał. Owszem, wykonali swoje zadanie z rozbawieniem, ale nie bezmyślnie. Mieli cel, byli zjednoczeni i zdecydowani. Tylko dzięki takiej postawie będą mogli wygrać tę wojnę, chociaż wielu nadal nie zdaje sobie sprawy, że wojna już się rozpoczęła, właśnie od tego zdarzenia w porcie.

Ile czasu upłynęło od tamtej wspaniałej nocy? Jeden dzień? Dwa? Zwykły pech sprawił, że nad ranem natknął się na dwóch pijanych i rozsierdzonych żołnierzy angielskich. Rozpoznali go, bo jego twarz, a przede wszystkim nazwisko i przekonania, były w Bostonie dobrze znane. Nie cieszył się sympatią Anglików.

Może chcieli się tylko z nim podrażnić i nastraszyć go trochę. Może nie zamierzali go aresztować — o nic przecież nie był oskarżony. Kiedy jednak jeden z nich wyciągnął szablę, szabla MacGregora niemal sama skoczyła do jego dłoni. Walka była krótka i, jak sam teraz musiał przyznać, zupełnie niepotrzebna. Wciąż nie był pewien czy zabił, czy jedynie zranił popędliwego żołnierza. Pamiętał jednak doskonale, że jego kompan sięgnął po swoją broń z żądzą mordu w oczach.

Chociaż MacGregor szybko wskoczył na konia i odjechał, kula wystrzelona z muszketu ugodziła go w ramię. Czuł ją teraz doskonale. Choć na szczęście przemarznięte, odrętwiałe ciało nie czuło nic, w tym jednym miejscu ból palił go niczym żywy ogień. Potem jego umysł również popadł w odrętwienie i MacGregor przestał odczuwać cokolwiek.

Ocknął się z trudem. Leżał w zaspie śnieżnej i widział nad sobą wirujące białe płatki na tle ciężkiego, szarego nieba. Musiał spaść z konia. Widocznie nie był jeszcze bliski śmierci, ponieważ ten fakt bardzo go zawstydził. Z wysiłkiem dźwignął się na kolana. Koń cierpliwie czekał obok i spoglądał na niego z lekkim zaskoczeniem.

— Mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz — wyszeptał MacGregor. Nie spodziewał się, że jego głos zabrmi tak słabo. Po raz pierwszy poczuł lęk. Zacisnął szczęki, z trudem chwycił się wodzy i chwiejnie stanął na nogach. — Muszę znaleźć jakieś schronienie. — Zatoczył się i w oczach mu pociemniało. Zrozumiał, że nie będzie miał siły wskoczyć na siodło. Mocniej chwycił wodze i cmoknął na konia. Zwierzę ruszyło, pociągając za sobą jego zmęczone ciało.

Po pierwszym kroku miał nieprzepartą ochotę upaść i dać się pokonać mroźnej nocy. Ktoś mu kiedyś powiedział, że zamarznięcie jest mało bolesne. Człowiek po prostu zapada w lodowaty sen.

Ale skąd, u diabła, ten ktoś mógł to wiedzieć, skoro przeżył? Roześmiał się na tę myśl, ale śmiech zaraz zamienił się w atak kaszlu, który jeszcze bardziej go osłabił.

Zupełnie stracił poczucie czasu, odległości i kierunku. Próbował myśleć o rodzinie, o rodzinnym cieple. Myślał o rodzicach, braciach i siostrach pozostałych w Szkocji, gdzie za wszelką cenę starali się nie tracić nadziei. O ciotkach, wujach i kuzynach z Wirginii, którzy pracą zdobywali prawo do nowego życia i ziemi. On zaś znajdował się gdzieś pomiędzy, uwięziony między miłością do dawnego życia i fascynacją nowym.

Czy jednak żył tu, czy w Szkocji, wróg pozostał ten sam. Myślenie o nim dodawało mu sił. Przekleci Brytyjczycy mordowali jego rodaków i skazywali ich na wygnanie. Teraz ich chciwe łapska sięgnęły aż za ocean, żeby na wpuł szalony angielski król mógł i tutaj wprowadzić swoje prawo i ściągać podatki.

Potknął się i wodze omal nie wysunęły mu się z ręki. Zamknął oczy i chwilę odpoczywał, wsparłszy głowę na końskiej szyi. Przypomniawszy sobie twarz ojca i jego płonące dumą oczy.

— Znajdź sobie miejsce na ziemi i nigdy nie zapomnij, że jesteś MacGregorem. — Te słowa często od niego słyszał. Nigdy o tym nie zapomni.

Znużony otworzył oczy i nagle poprzez wirujące płatki śniegu dostrzegł zarys budynku. Zamrugał z niedowierzaniem i przetarł zmęczone powieki, lecz budynek nie zniknął. Kontury miał niewyraźne,

ale niewątpliwie był prawdziwy.

— No, koniku — mówiąc to oparł się ciężko o bok zwierzęcia. — Może jednak śmierć nie jest mi dzisiaj pisana.

Krok za krokiem brnął przed siebie w głębokim śniegu. Po jakimś czasie spostrzegł, że to zbudowany z sosnowych bali budynek gospodarczy. Zgrabiłymi palcami otworzył skobel. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, wkrótce jednak znalazł się wewnątrz i poczuł miłe ciepło bijące od stojących tu zwierząt.

Wokół panowała ciemność. Idąc po omacku natrafił na stertę siana. Gdzieś obok zaryczała oburzona jego nagłym wtargnięciem krowa. I to był ostatni dźwięk, jaki usłyszał.

Alanna okryła się wełnianą peleryną. Ogień w kuchennym palenisku płonął jasno, roztaczając delikatną, miłą woń drzewa jabłoni. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale ten widok i zapach napełniał ją radością. Tego dnia obudziła się w świetnym nastroju. Pewnie sprawił to świeżo spadły śnieg, chociaż jej ojciec wcale się z niego nie ucieszył. Ona zaś uwielbiała patrzeć na czysty biały puch pokrywający nagie gałęzie drzew.

Śnieg padał coraz słabiej i wkrótce na podwórzu pojawią się ślady stóp ojca, braci i jej własnych. Trzeba oporządzić zwierzęta, zebrać jaja, a potem jeszcze naprawić uprzęż i narąbać drzewa. Jednak teraz przez krótką chwilę mogła stać w małym kuchennym oknie i cieszyć się pięknym widokiem.

Gdyby ojciec ją na tym przyłapał, potrząsnąłby głową i stwierdził, że jest niepoprawną marzycielką. Powiedziałby to szorstko, ale bez gniewu, raczej ze smutkiem. Jej matka też była marzycielką. Umarła, zanim w pełni ziściło się jej marzenie o domu i spokojnym, dostatnim życiu.

Alanna wiedziała, że Cyrus Murphy nie był z natury twardym człowiekiem. Szorstkim i opryskliwym uczyniła go śmierć zbyt wielu bliskich mu osób. Najpierw odeszło dwoje dzieci, później ukochana żona. Kolejny syn — piękny i młody Rory — zginął na wojnie w Francuzami.

Pomyślała o swoim mężu, Michaelu Rynnie, który również odszedł, chociaż w mniej dramatycznych okolicznościach.

Nie wspominała go często. W końcu była jego żoną tylko trzy miesiące, a wdową już od trzech lat. Był on jednak dobrym, porządnym człowiekiem i gorzko żałowała, że nie dane im było doczekać się potomstwa.

Nie czas na smutne rozmyślenia, upomniała się w duchu. Wsunęła na głowę kaptur peleryny i wyszła z domu. Dzisiejszy dzień to kolejny dzień radosnego oczekiwania i zapowiedź nadejścia czegoś lepszego. Święta już niedługo, a Alanna przyrzekła sobie przecież, że będą radosne i wspaniałe.

Już od dłuższego czasu spędzała długie godziny przy kołowrotku i krosnach. Musiała zrobić dla braci nowe szaliki, rękawice i czapki. Niebieskie miały być dla Johnny'ego, a czerwone dla Briana. Dla ojca zaś namalowała miniaturowy portret matki. Musiała sporo zapłacić miejscowemu złotnikowi za srebrną ramkę.

Wiedziała, że takie prezenty sprawią im radość, tak samo jak potrawy, które zamierzała przyrządzić na świąteczną ucztę. To było dla niej najważniejsze — szczęśliwa, bezpieczna rodzina.

Skobel na drzwiach do budynku gospodarczego był otwarty. Westchnęła z irytacją. Dobrze, że pierwsza to zauważyła. Gdyby zobaczył to ojciec, jej młodszy brat. Brian, usłyszałby kilka ostrych słów.

Weszła do środka, zsunęła kaptur z głowy i sięgnęła po drewniane cebrzyki wiszące przy drzwiach. Wokół panował półmrok, więc zapaliła lampę. Kiedy skończy dojenie, Brian i Johnny zdążą już nakarmić zwierzęta i wyczyścić stajnie. Zbierze jajka i przyrządzi ojcu i braciom solidne śniadanie.

Nucąc zmierzała ku zagrodzie dla krów. Nagle stanęła jak wryta. Dostrzegła pod ścianą dereszowatego konia, który wyglądał na bardzo zdrożonego.

— Słodki Jezu! — zawołała przestraszona. Serce podskoczyło jej w piersi. Koń w odpowiedzi parsknął cicho, jakby na powitanie i przestąpił z nogi na nogę.

Skoro był koń, musiał być i jeździec. Alanna miała już dwadzieścia lat i nie była tak naiwna, żeby sądzić, że każdy nieznajomy jest pokojowo nastawiony i nie robi krzywdy samotnej kobiecie. Mogła uciec i przywołać krzykiem ojca i braci, ale chociaż przyjęła nazwisko męża, nadal należała do rodu Murphy, a każdy Murphy potrafi bronić siebie i bliskich.

Z uniesioną głową ruszyła śmiało przed siebie.

— Powiedz, jak się nazywasz i co cię tu sprowadza — zażądała, lecz usłyszała jedynie ciche rżenie konia. Podeszła bliżej i dotknęła nosa zwierzęcia. — Co to za pan, który zostawia konia mokrego i osiódlanego? — Widok zaniedbanego zwierzęcia wywołał w niej gniew. Odstawiła cebrzyki i krzyknęła głośno: — Wyjdź z ukrycia i pokaż się! Jesteś na ziemi Murphych!

Krowy zaryczały. Alanna oparła dłoń na biodrze i rozejrzała się.

— Nikt ci nie odmawia schronienia przed zamiecią — uspokajała niewidocznego przybysza. — Dostaniesz nawet śniadanie. Ale kto to widział zostawiać konia w takim stanie!

Znów nie otrzymała odpowiedzi, więc gniew zawrzał w niej mocniej. Mrucząc pod nosem sama zaczęła zdejmować siodło z wierzchowca. W tej samej chwili potknęła się o parę wysokich butów.

Całkiem porządne buty, pomyślała. Wystawały z zagrody dla krów, a brązową skórę znaczyły ślady po roztopionym śniegu i plamy z błota. Podeszła bliżej i przyjrzała się parze długich, umięśnionych nóg, odzianych w znoszone spodnie z kozłowej skóry.

Patrzyła na nie z kobiecym uznaniem, przygryzając dolną wargę. Zrobiła jeszcze krok i zobaczyła resztę postaci. Mężczyzna był szczupły i muskularny, miał na sobie długi kubrak i futrzaną pelerynę.

Chyba nie widziała dotąd kogoś przystojniejszego. A ponieważ wybrał sobie jej farmę na miejsce odpoczynku, uznała, że ma prawo przyglądać mu się do woli. Uniosła lampę nieco wyżej. Wysoki, wyższy od jej braci. Pochyliła się, żeby go lepiej obejrzeć.

Miał ciemne włosy, tak bardzo ciemnorude, jak koń Briana. Nie nosił brody, ale na policzkach i wokół pełnych, ładnych ust widać było dwudniowy zarost. Jako kobieta, Alanna nie mogła nie zauważyć, że nieznajomy jest wręcz wyjątkowo urodziwy. Miał wyrazistą, pociągłą twarz o szlachetnych, niemal arystokratycznych rysach i wysokim czole.

Niewątpliwie na widok takiej twarzy zadrżałoby niejedno kobiece serce, przyznała w duchu. Ona jednak nie była zainteresowana ani drżeniem serca, ani flirtem. Pragnęła jedynie, żeby nieznajomy się obudził i zszedł jej z drogi, ponieważ uniemożliwiał dojenie krów.

— Proszę pana — uśmiechając się pod nosem lekko trąciła jego nogę czubkiem buta. Mężczyzna jednak nie zareagował. Doszła więc do wniosku, że pewnie jest pijany jak bela. Z jakiej innej przyczyny mężczyzna mógłby spać tak kamiennym snem? — Wstawaj, nicponiu — ciągnęła wyraźnie już zniecierpliwiona. — Przez ciebie nie mogę wydoić krów. — Znów trąciła go butem, tym razem niezbyt delikatnie. W odpowiedzi usłyszała jedynie cichy jęk. — No, jak chcesz — mówiąc to pochyliła się, żeby mocno nim potrząsnąć. Spodziewała się odoru alkoholu, a tymczasem wyczuła metaliczną woń krwi.

Natychmiast zapomniała o gniewie. Ostrożnie przykłęka i rozchyliła futrzaną pelerynę okrywającą ramiona nieznajomego. Na widok wielkiej czerwonej plamy na koszuli gwałtownie wciągnęła powietrze. Mokrymi od krwi palcami zbadła jego puls.

— Żyjesz — wyszeptła. — Z Bożą pomocą i przy odrobinie szczęścia może cię z tego wyciągniemy.

Chciała wstać i zawołać braci, ale wtem ranny chwycił ją mocno za nadgarstek.

Otworzył oczy. Były zielononiebieskie jak morze i czaił się w nich ból. Pochyliła się, żeby wyszeptać słowa otuchy.

Niespodziewanie przyciągnął ją ku sobie, tak że straciła równowagę i osunęła się na niego bezwładnie. Przez chwilę czuła pod sobą twarde mięśnie i żar rozgrzanego ciała. Chciała coś krzyknąć z oburzeniem, ale poczuła na wargach jego usta. Pocałował ją krótko, lecz niespodziewanie mocno i uśmiechnął się do niej łobuzersko.

— A więc jeszcze nie umarłem... — oznajmił z ulgą i przymknął oczy. — Takich ust na pewno w piekle nie ma.

Słyszała już zgrabniejsze komplementy. Zanim jednak zdążyła mu to powiedzieć, stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ból targał nim jak fale wzburzonego morza. Dobra, mocna whisky rozgrzała mu żołądek i przytępiła zmysły. Mimo to pamiętał straszliwy moment, kiedy rozgrzany nóż zagłębiał się w jego ciało. Była też jakaś ciepła dłoń, która dawała pocieszenie i przytrzymywała go na miejscu, cudownie chłodny okład na głowę i jakiś obrzydliwy płyn wlewany do gardła.

Krzyknął wtedy głośno. Czy to na pewno on krzyczał? Czy potem dotykały go łagodne ręce, koił miękki głos i zapach lawendy? Ktoś śpiewał po celtycku. Czyżby znalazł się w Szkocji? Nie, jednak nie. Kiedy ten sam głos znów do niego przemówił, nie było w nim słychać znajomego szkockiego gardłowego "r", ale miękkie irlandzkie tony.

Czyżby statek zmylił kurs i zboczył na południe? Pamiętał jakiś statek. Ale przecież tamten stał przy nabrzeżu. Jacyś mężczyźni o uczernionych, pomalowanych twarzach śmiali się wesoło. Błyskały ostrza. Przeklęta herbata.

Tak, teraz wszystko sobie przypomniał i od razu poczuł się trochę lepiej. A więc udało im się czynem wyrazić swój opór. On sam zaś został postrzelony nie na statku, ale już po wszystkim. O świecie, przez głupi przypadek. Potem był już tylko śnieg i ból, a kiedy się obudził, zobaczył piękną kobietę. Niewiele jest rzeczy, które mężczyzna bardziej pragnąłby zobaczyć po przebudzeniu, czy to na tym, czy na tamtym Świecie. Na samo jej wspomnienie uśmiechnął się i otworzył oczy. Ten sen miał swoje zalety.

Nagle zobaczył ją znowu. Siedziała przy krosnach, tuż pod oknem, tam gdzie słońce świeciło najjaśniej. Promienie połyskiwały na jej czarnych jak skrzydło kruka włosach. Miała na sobie prostą wełnianą granatową suknię i biały fartuch. Była smukła jak trzcina, a jej dłonie poruszały się zręcznie i z gracją. Rytmicznie postukując tkala czerwony wzór na ciemnozielonym tle.

Pracę umiała sobie śpiewem, więc najpierw rozpoznał jej głos. Ten sam głos uspokajał go łagodnie, kiedy wstrząsały nim dreszcze i senne koszmary. Z łóżka dostrzegał tylko jej profil. Cerę miała jasną i lekko zaróżowioną, pełne, ładnie wykrojone wargi, a dołeczki na policzkach i mały, trochę zadarty nosek dopełniały całość.

Kiedy tak na nią patrzył, ogarnęło go przemożne uczucie spokoju. Miał ochotę zamknąć oczy i znów zapaść w sen. Ale chciał przecież nadal na nią patrzeć. Pragnął też się dowiedzieć, gdzie się, u licha, znalazł.

Kiedy tylko się poruszył, Alanna uniosła głowę i odwróciła się ku niemu. Widział teraz jej oczy — ciemnoniebieskie jak szafiry. Nie miał siły się odezwać, więc tylko na nią patrzył. Wstała, powoli wygładziła spódnice i podeszła do niego.

Ręka, która dotknęła jego czoła była chłodna i znajoma. Kobieta sprawnie i delikatnie sprawdziła opatrunek.

— Czyżby postanowił pan jednak dołączyć do świata żywych? — zapytała Alanna, widząc utkwione w sobie spojrzenie rannego. Ze stojącego na stole dzbanka naląa jakiegoś płynu do cynowego kubka.



— Odpowiedź znasz lepiej niż ja. — Wreszcie udało mu się wyszeptać.

Przytknęła mu kubek do ust i parsknęła śmiechem na widok jego miny. Skrzywił się, ponieważ rozpoznał ten obrzydliwy zapach.

— Co to u diabła jest?

— Bardzo skuteczne lekarstwo — zapewniła go i bezceremonialnie wlała mu je do gardła. Kiedy spojrzał na nią groźnie, znów się roześmiała. — Tyle razy pan to wypluwał, że nauczyłam się, jak Z panem postępować.

— Jak długo?

— Jak długo jest pan tu z nami? — Znowu dotknęła jego czoła. Ostatniej nocy gorączka spadła, ale wołała się upewnić. — Dwa dni. Mamy dziś dwudziesty grudnia.

— Co z moim koniem?

— Wszystko w porządku. — Alanna z aprobatą skinęła głową. Dobrze to o nim świadczyło, że nie zapomniał o zwierzęciu. — Lepiej będzie, jak pan się teraz trochę prześpi, a ja odgrzeję wzmacniający rosół, panie...

— MacGregor — przedstawił się. — Jestem Ian MacGregor.

— Niech więc pan odpoczywa, panie MacGregor.

Ujął ją za rękę. Taka drobna dłoń, a taka sprawna i silna.

— A jak ty się nazywasz? — zapytał.

— Alanna Flynn. — Dotyk jego ręki sprawił jej przyjemność. Nie była taka twarda jak ręce ojca i brata. — Może pan u nas zostać, dopóki pan nie wydobrzeje.

— Dziękuję — mówiąc to nie wypuszczał jej dłoni z uścisku i lekko gładził ją po palcach. Gdyby nie to, że dopiero co wyszedł z ciężkiej choroby, można by pomyśleć, że flirtuje. Nagle Alanna przypomniała sobie, jak ją pocałował, mimo że właśnie wykrwawiał się na śmierć. Szybko cofnęła rękę. Ian roześmiał się krótko.

— Jestem twoim dłużnikiem, panno Flynn.

— Owszem, jest pan — odparła i wstała z godnością. — A ja nie jestem panną, tylko panią Flynn.

Co za bolesne rozczarowanie! I to na samym początku znajomości. Flirty z mężatkami nie były dla niego nowością i nie miał nic przeciwko nim, zwłaszcza jeśli kobieta była chętna. Nigdy jednak w takich wypadkach nie pozwalał sobie na więcej niż uśmiechy i czułe szepty. Jaka szkoda, myślał teraz z żalem, przyglądając się Alannie.

— Jestem wdzięczny pani i pani mężowi.

— Niech pan przekaze wyrazy wdzięczności mojemu ojcu — powiedziała surowo. Złagodziła te słowa uśmiechem, który pogłębił dołeczki w jej policzkach. Nie miała wątpliwości, że ten MacGregor to nicpoń i uwodziciel, ale przecież jeszcze nie wydobrzeał i znajdował się pod jej tymczasową opieką. — To jego dom. Ojciec wkrótce wróci. — Patrzyła na niego oparłszy ręce na biodrach. Jego twarz nabrała rumieńców, ale przydałoby się mu strzyżenie i golenie. Poza tym prezentował się bardzo dobrze. Nie uszedł jej uwagi znaczący błysk w jego oku, więc postanowiła, że będzie się mieć na bacności. — Skoro i tak pan nie śpi, może pan coś zje. Przyniosę ten rosół — zaproponowała.

Poszła do kuchni, stukając obcasami o podłogę z prostych desek, Ian rozejrzał się po izbie i stwierdził, że ojcu Alanny nie powodzi się źle. W oknach połyskiwały szyby, ściany były świeżo pobielone. Jego poślanie znajdowało się obok schludnego kominka ozdobionego gzymsem wykonanym z miejscowego kamienia. Stały na nim świece i porcelanowe półmiski. Na ścianie wisiały dwie strzelby myśliwskie i całkiem niezła skałkówka.

Pod oknem stały krosna, a w kącie kołowrotek. Na meblach próżno by szukać choć jednego pyłka kurzu. Całemu wnętrzu przytulności dodawały ułożone na krzesłach haftowane poduszki. Wokół rozchodził się miły zapach, chyba pieczonych jabłek i dobrze przyprawionego mięsa. To wygodny dom, chociaż w samym środku głuszy, pomyślał Ian z uznaniem. Człowiekowi, który potrafił go zbudować, należy się szacunek. Taki człowiek na pewno stanąłby do walki, gdyby ktoś chciał mu to wszystko odebrać.

Są rzeczy, za które warto się bić i warto zginąć. Ziemia, dom, nazwisko, kobieta, wolność — za to

wszystko Ian gotów był walczyć w każdej chwili. Spróbował usiąść na posłaniu, ale świat wokół zawirował mu w oczach.

— Typowy mężczyzna! — zawołała Alanna stając w progu z miską rosółu. — Chce popsuć efekt mojej pracy. Leż spokojnie, MacGregor. Jesteś słaby jak dziecko i tak samo niecierpliw.

— Pani Flynn...

— Najpierw jedzenie, a potem rozmowa.

Nie mając innego wyjścia przełknął łyżkę rosółu, którą własnoręcznie wlała mu do ust.

— To bardzo smaczny rosół, ale potrafię jeść sam — zaprotestował.

— I pobrudzić przy tym moją czystą pościel? Nie, dziękuję. Najpierw trzeba odzyskać siły — takim tonem przemawiała również do swoich braci. — Stracił pan dużo krwi, zanim pan tu trafił, a potem jeszcze trochę przy usuwaniu kuli — mówiąc to karmiła go rosółem. Na wspomnienie tych ciężkich chwil ręka jej nie zadrżała, ale serce tak.

Bił od niej zapach ziół i lawendy, Ian uznał, że ta sytuacja ma swoje dobre strony i niepotrzebnie się upierał przy samodzielnym jedzeniu.

— Gdyby nie mróz — ciągnęła Alanna — bardziej by pan krwawił i z pewnością umarł gdzieś w lesie.

— Powiniennem więc dziękować i pani, i naturze.

Spojrzała na niego badawczo.

— Mówią, że niezbadane są wyroki boskie. Najwyraźniej Bóg postanowił zostawić pana przy życiu, chociaż zrobił pan wszystko, żeby się dostać na tamten świat.

— Sprawił też, że trafiłem do domu sąsiadów, Irlandczyków. — Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko. — Nigdy nie byłem w Irlandii, ale mówiono mi, że to piękny kraj.

— Tak twierdzi mój ojciec. Urodził się tam.

— Ale pani również ma irlandzki akcent.

— A pan szkocki.

— Ostatni raz widziałem Szkocję pięć lat temu — cień przemknął po jego twarzy. — Mieszkam w Bostonie. Kształciłem się tam i mam w tym mieście wielu przyjaciół.

— Kształcił się pan. — Od samego początku poznała po jego mowie, że to człowiek wykształcony i bardzo mu tego zazdrościła.

— W Harvardzie — dodał.

— Ach, tak. — Teraz zazdrościła mu jeszcze bardziej. Gdyby matka żyła... Ale matka umarła i Alanna przestudiowała w życiu jedynie elementarz. — Daleko stąd do Bostonu. Dzień drogi konno. Czy w mieście zostawił pan rodzinę lub przyjaciół, którzy teraz martwią się o pana?

— Nie, nikt się o mnie nie martwi. — Pragnął jej dotknąć, chociaż wiedział, że postąpiłby wtedy wbrew swym zasadom. Chciał jednak sprawdzić, czy jej policzek jest tak miękki i gładki, jak na to wygląda, i czy włosy są tak gęste i ciężkie, a usta słodkie.

Spojrzała na niego spokojnie jasnymi, przejrzystymi oczami. Przez chwilę widział tylko jej twarz. I wtedy przypomniał sobie, że już poznał smak tych ust.

Bezwiednie opuścił na nie wzrok i długo się im przyglądał. Kiedy wyczuł, że Alanna zeszywniała, podniósł oczy. W jego spojrzeniu nie było jednak skruchy, tylko rozbawienie.

— Błagam o wybaczenie, pani Flynn. Kiedy mnie pani znalazła, nie byłem sobą.

— Wygląda na to, że bardzo szybko stał się pan na powrót sobą — odcięła. Rozbawiony wybuchnął śmiechem, ale zaraz skrzywił się z bólu.

— Jeszcze usilniej błagam panią o wybaczenie i mam nadzieję, że pani mąż nie wyzwie mnie na pojedynek.

— Tego nie musi się pan obawiać. Mój mąż od trzech lat nie żyje.

Zerknął na nią badawczo, ale ona z nieprzeniknioną miną wsunęła mu do ust następną łyżkę rosółu. Bóg mógłby go pokarać za takie myśli, ale w duchu przyznał, że wiadomość o śmierci Flynn'a ani trochę go nie zasmuciła. Przecież wcale nie znał tego człowieka. A czy można przyjemniej spędzić dni rekonwalescencji, niż w towarzystwie młodej, ślicznej wdówki?

Alanna wyczuła jego pożądanie tak jak psy myśliwskie zwierzynę. Natychmiast wstała i odsunęła się od niego.

— Teraz proszę wypoczywać.

— — Czuję się tak, jakbym wypoczywał już od wielu tygodni — odparł. Jaka ona śliczna, myślał jednocześnie. Taka kobieca i świeża. Przywołał na twarz najprzymilniejszy z uśmiechów, — Czy mogę prosić o pomoc? Chciałem usiąść na krześle. Lepiej bym się poczuł, gdybym mógł przez chwilę popatrzeć na świat za oknem.

Zawahała się. Nie wątpiła, że udźwignie jego ciężar. Uważała się za osobę silną i wytrzymałą. Jej nieufność wzbudził jednak błysk w oczach MacGregora.

— Dobrze — zgodziła się po chwili. — Ale proszę się na mnie oprzeć i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

— Z przyjemnością. — Ujął jej dłoń i przysunął do swoich ust. Zanim zdołała ją wyrwać, odwrócił ją grzbietem do dołu i lekko musnął ustami wewnątrz. Żaden mężczyzna jeszcze jej tak nie pocałował. Serce skoczyło jej do gardła. — Masz oczy jak klejnoty, które kiedyś widziałem na szyi królowej Francji. Szafiry — dokończył szeptem.

Nie mogła się poruszyć. Nikt tak jeszcze na nią nie patrzył. Poczula, jak fala gorąca zalewa jej brzuch, piersi, szyję i wreszcie twarz. Kiedy znów zobaczyła charakterystyczny łobuzerski uśmiech MacGregora, natychmiast wyrwała dłoń z jego uścisku.

— Jest pan nicponiem, panie MacGregor.

— Tak jest, pani Flynn. *Co* nie znaczy, że nie powiedziałem prawdy. Jesteś piękna. Takie jest znaczenie twojego imienia. Alanna. — Ostatnie słowo wymówił wolno, rozkoszując się każdym dźwiękiem.

Nie zamierzała się nabrać na tanie pochlebstwa. Jednak wewnątrz dłoni nadal ją paliło.

— Owszem, właśnie tak brzmi moje imię, ale nie jesteśmy jeszcze po imieniu. Musi pan zaczekać na pozwolenie, żeby go użyć. — Z ulgą usłyszała jakieś odgłosy na podwórzu. Ze zdziwieniem zauważyła, że przybysz lekko zeszywniał i czujnie nasłuchuje. — To pewnie ojciec i bracia — wyjaśniła. — Jeśli nadal chce pan usiąść przy oknie, z pewnością panu pomogą. — Z tymi słowami ruszyła do drzwi.

Na pewno będą głodni, pomyślała. W mig zjedzą duszone mięso i ciasto, które dla nich przygotowała, nie szczędząc sił i starania. Ojciec zapewne będzie narzekał, że zostało jeszcze tyle do zrobienia. Johnny zaś będzie myślał tylko o tym, żeby pojechać do wsi na spotkanie z Mary Wyeth.

Brian włożył nos w którąś z ukochanych książek i będzie czytał przy kominku, dopóki nie zaśnie na siedząco.

Weszli do domu, wpuszczając ze sobą mroźne powietrze i wnosząc śnieg na butach. Donośne męskie głosy wypełniły całą izbę.

Ian uspokoił się, kiedy zobaczył, że to rzeczywiście rodzina Alanny. Było mało prawdopodobne, że w tym śniegu Brytyjczycy wytropią go aż tutaj, ale lepiej było nie tracić czujności. Zobaczył przed sobą trzech mężczyzn lub raczej dwóch mężczyzn i chłopca. Najstarszy był krępy i niewiele wyższy od Alanny. Miał ogorzałą twarz, na której ciężkie życie, wiatr i słońce odcisnęły swoje piętno. Oczy jego miały o ton jaśniejszą barwę niż oczy córki. Zdjął roboczą czapkę, spod której ukazały się jasne, przerzedzone włosy.

Starszy syn bardzo go przypominał, był jednak wyższy i szczuplejszy. Na jego twarzy widać było spokój i cierpliwość, której brakowało ojcu. Drugi syn był lustrzanym odbiciem brata, choć widać było wyraźnie, że to jeszcze młodzik z mlekiem pod

nosem. Cerę i włosy miał tego samego koloru co siostra.

— Nasz gość się obudził — oznajmiła Alanna i trzy pary oczu zwróciły się na MacGregora.

— Panie MacGregor. to jest mój ojciec, Cyrus Murphy, oraz moim bracia — John i Brian.

— MacGregor? — powtórzył Cyrus tubalnie. — Dziwne nazwisko.

Mimo bólu Ian wyprostował się sztywno.

— Jestem z niego dumny.

— Człowiek powinien być dumny ze swojego nazwiska. — Cyrus zmierzył go badawczym spojrzeniem. — Tytko z nim przychodzi na ten świat. Cieszę się, że postanowiłeś jednak przeżyć, MacGregor. Ziemia jest zmarznięta i nie moglibyśmy cię pochować aż do wiosny.

— To dla mnie też duża ulga.

Cyrusowi spodobała się taka odpowiedź. Z zadowoleniem skinął głową.

— Pójdziemy teraz umyć się do kolacji.

— Johnny. — Alanna zatrzymała brata, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Pomożesz panu MacGregorowi usiąść na krześle przy oknie?

Johnny spojrzał na Iana z uśmiechem.

— Jesteś zwalisty jak dąb, MacGregor. Ledwo dotaszczyliśmy cię do domu. Brian, pomóż mi.

— Dzięki. — Z trudem powstrzymując jęk, Ian wsparł się na ramionach braci. Przeklinał odmawiające posłuszeństwa nogi i obiecywał sobie w duchu, że jutro już będzie chodził o własnych siłach. Kiedy jednak usiadł na krześle, z wysiłku ociekał polem.

— Jak na człowieka, który wymknął się śmierci, wcale nie jesteś taki słaby — powiedział Johnny. Dobrze rozumiał irytację chorego.

— Czuję się tak, jakbym wypił skrzynkę grogu na środku rozszalałego morza.

— Wyobrażam to sobie. — Johnny przyjacielsko klepnął go po zdrowym ramieniu. — Alanna cię wyleczy.

Czując zapach duszonego mięsa czym prędzej poszedł się umyć.

— Panie MacGregor? — odezwał się Brian, spoglądając na niego nieśmiało, ale z wielką ciekawością. — Był pan pewnie za młody, żeby walczyć w czterdziestym piątym roku? — Ian uniósł pytająco brew, więc chłopak pośpiesznie wyjaśnił:

— Dużo o tamtych latach czytałem, o powstaniu jakobitów, o księciu Karolu Edwardzie Stuarcie i bitwach.

— Urodziłem się w roku czterdziestym szóstym

— odrzekł Ian. — Podczas bitwy pod Culloden. Mój ojciec walczył w tym powstaniu przeciwko Anglikom, a dziadek oddał w nim życie.

Niebieskie oczy chłopca rozwarły się szeroko.

— W takim razie może mi pan pewnie więcej o tym opowiedzieć, niż czytałem w książkach.

— Owszem. — Ian uśmiechnął się lekko.

— Brian! — odezwała się Alanna ostrym tonem.

— Pan MacGregor potrzebuje odpoczynku, a ty musisz coś zjeść.

Brian zaczął się wycofywać, ale nadal nie spuszczał oka z Iana.

— Porozmawiamy po kolacji, jeśli nie będzie pan zbyt zmęczony — zaproponował.

Ian uśmiechnął się do chłopca, nie zwracając uwagi na znaczące spojrzenie Alanny.

— Bardzo dobrze — zgodził się.

Alanna zaczekała, aż brat wyjdzie z izby. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiał tak wielki gniew, że Ian drgnął zaskoczony.

— Nie pozwolę, żeby ktoś rozbudzał jego wyobraźnię historyjkami o wojnach, wspaniałych bitwach i wielkich sprawach.

— Jest na tyle duży, że powinien sam decydować, o czym chce rozmawiać.

— To jeszcze chłopiec i łatwo zamieszać mu w głowie. — Palce Alanny kurczowo mięły fartuch, ale jej oczy spoglądały stanowczo i spokojnie.

— Może nie zawsze udaje mi się go upilnować i często wymyka się do wsi na ćwiczenia musztry, lecz nie pozwolę, żeby w tym domu ktoś snuł opowieści o wojnie.

— Wkrótce będzie to coś więcej, niż opowieści — rzekł cicho Ian. — Każdy mężczyzna powinien być do niej przygotowany. Kobiety również.

Zbladła, ale nie spuściła wzroku.

— W tym domu nie będzie żadnych opowieści o wojnie — powtórzyła i wybiegła do kuchni.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia Ian obudził się wcześniej rano. Powitało go blade zimowe słońce i zapach piekącego się chleba. Przez chwilę leżał bez ruchu, rozkoszując się dźwiękami i wonią poranka. Na kominku płonął jasny ogień, rozciągając miłe ciepło. Z kuchni dobiegał śpiew Alanny. Tym razem śpiewała po angielsku. Przez kilka minut był tak oczarowany jej głosem, że nie zwrócił uwagi na słowa. Kiedy dotarła do niego treść piosenki, zaskoczony otworzył szerzej oczy i roześmiał się.

Była to dość sprośna śpiewka, bardziej odpowiednia dla podchmielonego marynarza, niż dla dobrze wychowanej młodej wdowy.

A więc śliczna Alanna ma rubaszne poczucie humoru, pomyślał z uśmiechem. Jeszcze bardziej mu się przez to podobała, chociaż wątpił, czy tak lekko wyśpiewywałaby słowa piosenki, gdyby wiedziała, że ma słuchacza. Starając się nie robić hałasu, opuścił nogi na podłogę. Wstanie z posłania okazało się trudnym zadaniem, co wprawiło go w złość. Zakręciło mu się w głowie i musiał chwilę zaczekać, sapiąc jak starzec i opierając się o ścianę. Gdy udało mu się już wyrównać oddech, ostrożnie zrobił krok naprzód. Podłoga pod nim zakolysała się trochę, więc zaciskając zęby poczekał, aż wszystko się uspokoi. W ramieniu czuł pulsujący ból. Skupił na nim uwagę i tytko dzięki temu zrobił następny krok, a potem jeszcze jeden. Cieszył się, że nikt nie widzi jego mozolnych wysiłków.

Nie mógł pogodzić się z upokarzającą myślą, że mała stalowa kulka powaliła potomka rodu MacGregorów.

Myśl, że kulę tę wystrzelił Anglik, wzbudziła w nim wściekłość, dzięki której zrobił następne kroki. Czuł się tak, jakby miał nogi z ołowiu. Zimny pot zrosił mu czoło i kark, jednak w sercu gorzała niezłomna duma. Skoro tym razem uszedł z życiem, będzie nadal walczył. A zdolny do walki będzie dopiero wtedy, gdy odzyska siły.

Kiedy wyczerpany i mokry od potu dotarł do drzwi kuchni, Alanna śpiewała świąteczną kolędę. Najwyraźniej nie widziała nic niestosownego w tym, że po śpiewce o hojnie wyposażonych przez naturę dziewczkach wyśpiewywała pieśń o aniołach.

Dla Iana nie miało znaczenia, o czym śpiewa Alanna. Stał zaszuchany i zapatrzony. I był pewien, że ten głos zapamięta aż do śmierci. Nigdy nie zapomni tych czystych jasnych dźwięków, miękkich jak aksamit, które sprawiały, że wyobrażał sobie Alannę z rozpuszczonymi, rozrzuconymi na poduszce włosami. Zdumiony zdał sobie sprawę, że to na swojej poduszce najchętniej zobaczyłby jej włosy.

Większość gęstych czarnych loków Alanny kryła się teraz pod białym czepkiem, jednak pojedyncze kosmyki wysunęły się spod surowego, skromnego nakrycia głowy i zmysłowo opadły na szyję i kark. Ian bez trudu wyobraził sobie, jakby to było, gdyby na jej skórze, obok niesfornych kosmyków, spoczęły jego dłonie, jak poruszałyby się jej ciało pod ich dotykiem. Czy w łóżku byłaby tak samo zwinna i lekka jak przy kuchni?

Doszedł do wniosku, że jednak nie jest tak bardzo osłabiony, skoro za każdym razem na widok Alanny krew zaczynała się w nim burzyć, a myśli biegnęły łatwo przewidywalną ścieżką. Gdyby się nie

bał, że upadnie jak długi i całkiem się skompromituje, podszedłby do niej, przyciągnął do siebie i skradł pocałunek. Tymczasem mógł tylko patrzeć.

Czekając, aż upiecze się pierwsza partia chleba, Alanna zagniała kolejną porcję ciasta. Widział, jak jej drobne, zręczne dłonie ugniatają i zagarniają sprężystą masę. Cierpliwie i niestrudzenie. Jego myśli wypełniły się tak zmysłowymi obrazami, że aż jęknął.

Alanna odwróciła się szybko, nie odrywając dłoni od ciasta. Pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy, bardzo ją zawstydziła. Kiedy zobaczyła Iana w drzwiach, ubranego w płócienne spodnie i rozpiętą koszulę, zastanowiła się, co by zrobić. Żeby ją jeszcze raz pocałował. Oburzona na samą siebie, rzuciła ciasto na blat stołu i podbiegła do rannego. Twarz miał białą jak ściana i szczekał zębami. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli jej podopieczny osunie się na ziemię, będzie musiała bardzo się namęczyć, żeby położyć go z powrotem do łóżka.

— Spokojnie, panie MacGregor, niech się pan na mnie wesprze — powiedziała. Najbliżej stało kuchenne krzesło, więc posadziła go na nim i dopiero kiedy uwolniła się od ciężaru jego ciała, udzieliła mu reprimendy. — Prawdziwy z pana głupiec — oświadczyła, bardziej z satysfakcją niż gniewem. — Ale przecież wszyscy mężczyźni to głupcy. Osobiście nie raz się o tym przekonałam. Lepiej, żeby ta rana się nie otworzyła, bo właśnie wyszorowałam podłogę, więc jeśli mi ją pan zakrwawi, cała moja praca pójdzie na marne.

— Tak jest, proszę pani. — Nie była to zbyt błyskotliwa odpowiedź, ale tylko na taką potrafił się zdobyć. Od zapachu Alanny zakreśliło mu się w głowie, a jej twarz była tak blisko, że mógłby policzyć jej gęste, długie, czarne rzęsy.

— Przecież wystarczyło zawołać — powiedziała z wyrzutem. Trochę się uspokoiła widząc, że bandaż jest suchy. Szybko i obojętnie zapięła mu koszulę, jakby był jednym z jej braci, Ian znów musiał stłumić jęk.

— Chciałem tylko spróbować, czy już odzyskałem siłę w nogach — wyjaśnił. Krew w jego żyłach niemal się gotowała, a głos brzmiał ochryple.

— Jeśli będę leżał plackiem, długo nie odzyskam sprawności.

— Wstanie pan dopiero, kiedy ja na to pozwolę, i ani minuty wcześniej. — Podeszła do kuchni i zaczęła coś mieszać w cynowym kubku, Ian poczuł znajomą woń i skrzywił się.

— Nie wypiję ani kropli tych pomyj! — zaprotestował.

— Wypije pan i jeszcze mi za to podziękuje.

— Energicznie postawiła kubek na stole. — Wypije pan, jeśli chce pan cokolwiek dzisiaj zjeść.

Spojrzał na nią tak, że niejeden dorosły mężczyzna zadrżałby pod takim spojrzeniem. Ona zaś tylko oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego równie groźnie. Zmarszczył brwi. Ona również.

— Jesteś zła, ponieważ wczoraj rozmawiałem z Brianem.

Uniosła lekko głowę i wyglądała teraz nie tylko groźnie, ale też wyniośle i dumnie.

— Gdyby pan odpoczywał zamiast rozwodzić się nad wspaniałościami wojny, nie byłby pan dziś taki słaby i rozdrażniony,

— Nie jestem ani słaby, ani rozdrażniony. Prychnęła z rozbawieniem, a on pożałował, że nie ma siły wstać. Pocałowałby ją tak, że nogi by się pod nią ugięły. Już on by jej pokazał, na co stać MacGregora.

— Jeśli jestem rozdrażniony, to tylko dlatego, że mam pusty żołądek — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechnęła się zadowolona, że musiał przyznać jej rację.

— Dostanie pan śniadanie dopiero kiedy opróżni pan ten kubek. — Szeleszcząc suknią wróciła do zagniatania ciasta. .

Kiedy stanęła plecami do niego, Ian rozejrzał się za czymś, gdzie mógłby wylać obrzydliwy płyn. Nic takiego nie znalazł, więc tylko złożył ramiona na piersiach i spojrzał wilkiem na swoją dreczycielkę. Alanna uśmiechnęła się do siebie.

Nie na darmo wychowała się w domu pełnym mężczyzn. Dobrze wiedziała, jakie myśli przebiegają przez głowę Iana. On był uparty, ale ona również. Zaczęła nucić coś pod nosem.

Ian nie marzył już o tym, żeby ją pocałować, ale poważnie zastanawiał się, czy jej nie udusić. Siedział głodny jak wilk i wdychał cudowny zapach piekącego się chleba. A ona dała mu tylko te ohydne pomyje.

Wciąż nucąc pod nosem, Alanna włożyła ciasto do misy, żeby wyrosło i nakryła je czystą ściereczką. Sprawdziła, czy bochenki już się upiekły i wyjęła je z pieca. W kuchni jeszcze mocniej zapachniało świeżym chlebem.

Ian miał swoją dumę. Ale co komu po dumie, jeśli z głodu kiszki marsza grają? Obiecał sobie, że ta kobieta jeszcze mu za to zapłaci i jednym haustem opróżnił kubek.

Alanna uśmiechnęła się szeroko, upewniwszy się przedtem, że stoi plecami do Iana. Bez słowa rozgrzała tłuszcz na patelni. Po krótkiej chwili położyła na stole talerz z górą jajecznicy i grubą pajdę świeżego chleba. Dołożyła jeszcze kawałek masła i filiżankę gorącej kawy.

Kiedy jadł, zajęła się szorowaniem patelni i myciem kuchennego blatu, tak że nie został na nim najmniejszy ślad mąki. Lubiła poranki, kiedy samotnie krzątała się po domu. Lubiła swoje kuchenne królestwo i związane z nim setki najróżniejszych prac. Dzisiaj też nie przeszkadzała jej obecność Iana, chociaż cały czas czuła na sobie spojrzenie jego oczu koloru morskiej wody. Co dziwniejsze, to, że siedział przy stole i jadł przyrządzone przez nią danie, wydawało jej się całkiem naturalne, jakby znajome.

Nie, jego obecność jej nie przeszkadzała, ale też nie pozwalała jej się rozluźnić. Panująca w kuchni cisza już nie była nabrzmiała gniewem. Dawało się tu natomiast wyczuć coś innego, co sprawiało, że każdy nerw się w niej napinał, a serce tłukło się w piersi jak szalone.

Postanowiła to przerwać, więc odwróciła się do Iana. Rzeczywiście, p r z y g l ą d a ł się jej uważnie. N i e z e złością, tylko... z zainteresowaniem. To pewnie było zbyt łagodne słowo dla określenia tego, co czaiło się w jego oczach, ale Alanna nie chciała szukać mocniejszego.

— Dżentelmen podziękowałby mi za posiłek.

Uśmiechnął się, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że dżentelmenem bywa tylko, gdy sam tego chce.

— Ależ dziękuję pani, pani Flynn. szczerze dziękuję. Czy mógłbym prosić o jeszcze jedną filiżankę kawy?

Wypowiedział tę prośbę uprzejmym tonem, ale wyraz jego oczu wzbudził jej nieufność. Biorąc od niego kubek starała się nie podchodzić zbyt blisko.

— Herbata jest lepsza dla chorych, ale w tym domu nie pija się herbaty — powiedziała cicho, jakby do siebie samej.

— W proteście?

— Tak. Nie będziemy pić tej przeklętej herbaty, dopóki król nie oprzytomnieje. Inni protestują w bardziej nierozważny i niebezpieczny sposób

— zauważyła, zdejmując garnek z ognia.

— Na przykład w jaki? Wzruszyła lekko ramionami.

— Johnny słyszał, że Synowie Wolności zniszczyli skrzynie z herbatą na pokładach trzech statków w bostońskim porcie. Przebrali się za Indian i weszli na pokład, nie zważając na strażę. Zanim słońce wzeszło, wrzucili do wody całą własność Kompanii Wschodnioindyjskiej.



— I to było takie nierozważne?

— Z pewnością bardzo śmiało — mówiąc to poruszyła się niespokojnie. — W oczach Briana nawet heroiczne. Ale według mnie głupie, ponieważ przez to król zastosuje jeszcze surowsze środki.

— Postawiła przed nim filiżankę.

— Więc najlepiej jest nie robić nic, kiedy traktuje się nas niesprawiedliwie? Mamy po prostu siedzieć spokojnie jak tresowany pies i posłusznie wykonywać komendy?

Policzki Alanny zaróżowiły się. Dała o sobie znać krew Murphych.

— Król nie będzie żył wiecznie.

— A więc trzeba czekać, aż szalony Jerzy wyciągnie nogi?

— W tym domu wiele już wycierpieliśmy z powodu wojny.

— Dopóki nie załatwimy naszych spraw, wojna się nie skończy, Alanno.

— Nie załatwimy naszych spraw? — powtórzyła gniewnie. — Jak załatwimy? Przebierając się za Indian i rozbijając skrzynie z herbatą? Załatwimy tak samo jak wtedy, gdy płakały żony i matki tych, którzy padli pod Lexington? I po co to wszystko? Żeby było więcej grobów i łez?

— Dla wolności i sprawiedliwości — odrzekł.

— To tylko słowa. — Potrząsnęła z powątpiewaniem głową. — Słowa nie umierają, tylko ludzie.

— Każdy musi umrzeć, ze starości lub na polu bitwy. Czy wierzysz, że musimy się zginać pod angielskim jarzmem, dopóki nie pęknie nam kark? A może lepiej dumnie stanąć do walki o to, co nam się sprawiedliwie należy?

Patrząc w jego błyszczące oczy poczuła dreszcz strachu.

— Mówisz jak buntownik, MacGregor.

— Jak Amerykanin — sprostował. — Jak Syn Wolności.

— Powinna się była tego domyślić — wyszeptła. Sprzątnęła talerz ze stołu, ale zaraz znów wróciła do Iana. — Czy dla zatopienia herbaty warto było narażać życie?

Odruchowo dotknął ramienia.

— To skutek pomyłki — wyjaśnił. — Nie miało to związku z naszym zaproszeniem ryb na herbatkę.

— Zaproszenie na herbatkę. — Wzniosła oczy do góry. — Typowo męski żart z poważnej sprawy.

— A ty, jak typowa kobieta, załamujesz ręce na samą myśl o walce.

— Wcale nie załamuję rąk — odparła spokojnie. — A już na pewno nie uroniłabym jednej łzy nad kimś takim, jak ty.

— Ale przecież będziesz za mną tęskniła, kiedy odjadę — stwierdził z uwodzicielskim uśmiechem.

Ta nagła zmiana tonu zupełnie ją zaskoczyła.

— Co za nicpoń... — wymruczała pod nosem i z trudem powstrzymała śmiech. — Proszę wracać do łóżka.

— Chyba jestem jeszcze bardzo słaby. Nie dojdę o własnych siłach.

Westchnęła ciężko, ale podała mu ramię. Ujął jej rękę i gwałtownie przyciągnął do siebie. W ułamku sekundy znalazła się na jego kolanach. Oburzona zaczęła obrzucać go przekleństwami z taką wprawą, że nie mógł wyjść z podziwu.

— Zaczekaj chwilę— przerwał jej. — Mamy różne poglądy polityczne, ale jesteś śliczną kobietą, a ja już od wieków nie trzymałem nikogo w ramionach.

— Diabelskie nasienie — wycedziła i uderzyła go w ramię.

Skrzywił się z bólu.

— Mój ojciec bardzo by się obraził, gdyby to usłyszał, kochanie.

— Nie jestem twoim kochaniem, ty podstępny gadzie.

— Uderz mnie jeszcze raz, a rana mi się otworzy i pobrudzę twoją czyściutką podłogę.

— Nic by mnie bardziej nie ucieszyło. Uśmiechnął się zauroczony i ujął ją za podbródek.

— Jesteś bardzo krwiożercza jak na kogoś, kto z takim świętym oburzeniem mówi o wojnie.

Przeklinała go, dopóki nie zabrakło jej tchu. Jej brat miał rację, kiedy twierdził, że Ian jest zwalisty jak dąb. Chociaż wyrwała się i szarpała — ku jego wielkiej uciesze — nie zdołała wyswobodzić się z uścisku.

— Niech cię diabli porwą — wycedziła zdyszana. — Ciebie i cały twój klan.

Zamierzał odpłacić się jej za to, że zmusiła go do wypicia tego obrzydliwego lekarstwa własnej roboty. Posadził ją sobie na kolanach tylko po to, żeby wprawić ją w zakłopotanie. Kiedy zaczęła się wyrwać, doszedł do wniosku, że może jeszcze trochę się z nią podrażnić i na dodatek sprawić sobie przyjemność pocałunkiem. Jednym szybkim, skradzionym pocałunkiem. Przecież i tak już była na niego wściekła.

Śmiejąc się przycisnął usta *do* jej ust. Chciał sobie tylko żartować, trochę z siebie, a trochę z niej. Pragnął usłyszeć nową litanię zabawnych przekleństw, które z pewnością zaraz posypią się na jego głowę.

Śmiech jednak szybko zamarł mu na ustach, kiedy ciało Alanny nagle znieruchomiało.

Powtarzał sobie w duchu, że ma to być szybki, przyjacielski pocałunek. Mimo to poczuł, że kręci mu się w głowie tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz chciał wstać z posłania.

Ten zawrót głowy nie miał nic wspólnego z raną sprzed kilku dni, chociaż teraz również czuł ból — jakiś słodki skurcz rozchodzący się po całym ciele. Z zamętu myśli wyłoniło się jedno pytanie. Może przeżył nie tylko po to, żeby znów walczyć, ale również dla tego wspaniałego pocałunku?

Alanna nie opierała się, chociaż wiedziała, że powinna. Czuła jednak, że nie potrafi. Jej ciało, z początku sztywne, rozluźniło się, zmiękło i poddało się jego pocałunkowi. Jest taki delikatny, choć jednocześnie szorstki, pomyślała. Wargi miał chłodne, a lekki zarost drapał jej wrażliwą skórę. Usłyszała własne westchnienie, mimowolnie rozchyliła usta i poczuła smak jego warg. Położyła mu rękę na policzku w geście słodkiej pieśczoły, a on namiętnie zatopił palce w jej włosach.

Całował ją mocno, przenosząc w jakiś cudowny świat, którego jeszcze nie poznała. Rozkoszowała się jego bliskością, oddechem. Nagle usłyszała krótkie przekleństwo i Ian odsunął się od niej gwałtownie. Zobaczyła, że patrzy na nią oszołomiony.

W tej chwili nie stać go było na inną reakcję. Czepek zsunął jej się z głowy, więc włosy opadły na ramiona czarnymi kaskadami. Oczy miała rozszerzone, połyskujące jak niebieskie jeziora na tle kremowej cery. Bał się, że się w nich utopi.

Przy takiej kobiecie byłby w stanie zapomnieć o wszystkim — o obowiązkach, honorze i sprawiedliwości. Zdał sobie sprawę, że mógłby się przed nią czołgać, żeby tylko usłyszeć z jej ust jedno łaskawe słowo. Ale przecież był MacGregorem. Nie może się zapomnieć, nie może przed nikim się czołgać.

— Bardzo panią przepraszam — powiedział sztywno. Natychmiast poczuł, jak z jej ciała ucieka ciepło. — Zachowałem się niewybaczalnie.

Wstała ostrożnie i wciąż jeszcze będąc pod wrażeniem pocałunku, zaczęła szukać na podłodze swego czepka. Kiedy go odnalazła, wyprostowała się jak trzcina i spojrzała na niego przez ramię.

— Proszę wracać do łóżka, MacGregor.

Nie poruszyła się, dopóki nie wyszedł z kuchni. Potem otarła z policzka irytującą łzę i wróciła do pracy. Obiecała sobie, że nie będzie już o nim myślała. Ani trochę.

Frustrację wyładowała na świeżo wyrośniętym cieście.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Święta zawsze były dla Alanny radosnym wydarzeniem. Przygotowania do nich sprawiały jej przyjemność — lubiła świąteczne gotowanie, pieczenie i sprzątanie. Zawsze starała się wtedy wybaczać urazy, te duże i te małe. Zwykle też cieszyła się na myśl, że włoży swoją najlepszą sukienkę i pojedzie do na mszę do kościoła w pobliskiej wsi.

Jednak podczas tegorocznych przygotowań do świąt na przemian ogarniał ją nastrój irytacji i przygnębienia. Zbyt często burczała na braci i traciła cierpliwość wobec ojca. Dzisiaj na przykład rozplakała się nad przypalonym ciastem, a potem ze złością wybiegała z kuchni, kiedy Johnny próbował rozweselić ją żartami.

Usiadła na kamieniu nad lodowatym strumieniem, oparta głowę na dłoniach i zaczęła się zastanawiać nad swoim zachowaniem.

To niedobrze, że próbowała rozładować napięcie wyżywając się na rodzinie. Ani ojciec, ani bracia niczym sobie na to nie zasłużyli. Pokrzykiwała na nich, chociaż tak naprawdę była zła na Iana MacGregora. Zirytowana kopnęła grudę zlodowaciałego śniegu.

Przez ostatnie dwa dni ten tchórz MacGregor trzymał się od niej z daleka. Pod pozorem pomagania przy gospodarstwie ciągle uciekał do stodoły, niczym przebiegła łasica. Ojciec był mu bardzo wdzięczny, ale Alanna wiedziała, dlaczego tak naprawdę MacGregor spędza całe dni oporządzając zwierzęta i naprawiając uprzęż.

Bał się jej. Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Bardzo słusznie bał się jej gniewu. Co za mężczyzna całuje kobietę tak, że niemal zwała ją z nóg, a potem grzecznie za to przeprosza, jakby chodziło o nieumyślne potrącenie kogoś w drzwiach? Nie miał prawa jej całować — a tym bardziej nie miał prawa przejść do porządku dziennego nad tym, co się wtedy stało.

Przecież ocaliłam mu życie, pomyślała, kiwając z niedowierzaniem głową. Uratowała go, a on odpłacił jej tym, że rozbudził w niej takie pragnienia, jakich nie powinna mieć żadna cnotliwa kobieta wobec mężczyzny, który nie jest jej mężem.

Mimo tej świadomości pragnęła go i to zupełnie inaczej niż kiedyś pragnęła łagodnego, miłego Michaela Rynna. Oczywiście było to czyste szaleństwo. MacGregor to buntownik — tacy ludzie tworzą historię, ale ich żony szybko zostają wdowami. Ona tymczasem pragnęła spokojnego życia, gromadki dzieci i domu. Chciała mieć mężczyznę, który przez długie lata codziennie wracałby do niej i spał u jej boku. Mężczyznę, który lubiłby wieczorami siadać przy kominku i rozmawiać z nią o wydarzeniach minionego dnia. MacGregor nie był takim człowiekiem. Dostrzegła w nim ten sam ogień, który widziała w oczach Rory'ego. Niektórzy rodzą się wojownikami i nic ich nie zmieni. Ich losem jest walka i śmierć na polu bitwy. Taki właśnie był Rory, jej najstarszy brat, którego najbardziej kochała. Taki też jest Ian MacGregor, którego знаła od kilku zaledwie dni i którego nie wolno jej było pokochać.

Siedziała w zamyśleniu, kiedy nagle zobaczyła obok jakiś cień. Zesztywniała odwróciła się i zaraz uśmiechnęła, widząc przed sobą Briana.

— Nic ci nie grozi — oznajmiła dostrzegłszy, że brat waha się, czy podejść bliżej.

. — Już mam lepszy nastrój i nie wrzucę cię do strumienia.

— Ciasto nie było takie złe, kiedy odkroiłem przypalone brzegi.

— Spojrzała na niego z, udawanym gniewem. — Chyba jednak wrzucę cię do strumienia.

Brian wiedział, że to tylko żarty. Kiedy gniew Alanny opadł, niełatwo było ją znów rozzłościć.

— Miałabyś wyrzuty sumienia, jeśli bym się przeziębził i musiałabyś mnie leczyć. Spójrz, przyniosłem ci prezent. — Wyciągnął przed siebie wieniec spleciony z gałązek ostrokrzewu, który chował za plecami. — Możesz go przybrać wstążkami i zawiesić na drzwiach.

Ostrożnie wzięła od niego wieniec i obejrzała dokładniej. Był spleciony bardzo niezdarnie, przez co stał się dla niej jeszcze bardziej wartościowy. Brian miał sprawniejszy umysł niż ręce.

— Bardzo dałam wam się we znaki?

— Owszem — mówiąc to przykucnął u jej stóp.

— Ale wiem, że humor na pewno ci się poprawi. Przecież niedługo święta.

— Masz raję — przyznała, z uśmiechem patrząc na wieniec.

— Jak myślisz, czy Ian zostanie z nami na świąteczny obiad?

Uśmiech Alanny zmienił się w grymas.

— Nie wiem. Zdaje się, że szybko dochodzi do siebie.

— Tata mówi, że bardzo przydaje się w gospodarstwie, chociaż nie jest farmerem. — Brian w za myśleniu zaczął lepić śnieżną kulę. — A poza tym on jest taki mądry. Pomyśl tylko, studiował na Harvardzie i przeczytał tyle książek.

— Tak — przytaknęła z lekkim smutkiem. Ani ona, ani Brian nie mieli takich możliwości. — Jeśli przez następne lata będziemy mieli dobre zbiory, ty też pójdziesz na studia. Obiecuję ci.

Nic nie odpowiedział. Pragnął tego najbardziej na Świecie, ale już pogodził się z myślą, że nigdy nie będzie studiował.

— Przy Ianie też się dużo uczę. On tyle wie. Alana zacisnęła usta.

— Tak, jestem pewna, że wie bardzo dużo.

— Pożyczył mi książkę, którą miał w torbie przy siodle. To "Henryk V" Szekspira. Opowiada o młodym królu i wspaniałych bitwach, które stoczył.

Znowu bitwy, pomyślała. Zdaje się, że mężczyźni od dzieciństwa nie myślą o niczym innym. Brian mówił dalej, niezniechęcony jej milczeniem.

— A to, co Ian opowiada, jest jeszcze ciekawsze — stwierdził z entuzjazmem. — Opowiedział mi, jak jego rodzina walczyła w Szkocji, Jego ciotka poślubiła Anglika — jakobitę. Razem uciekli do Ameryki, kiedy powstanie upadło. Mają plantację w Wirginii i hodują tytoń. Ma jeszcze jedną ciotkę i wuja, którzy mieszkają w Ameryce, ale jego rodzice zostali w Szkocji, w górach. Tam musi być cudownie. Strome skały i głębokie jeziora. A Ian urodził się w lesie, w tym samym dniu, kiedy jego ojciec bił się z Anglikami pod Culloden.

Alanna wyobraziła sobie kobietę zmagającą się z bólem porodu. Doszła do wniosku, że i kobiety, i mężczyźni prowadzą walkę, tylko każde na swój sposób. Kobieta walczy o życie, zaś mężczyzna o śmierć.

— Po bitwie — ciągnął Brian — Anglicy zamordowali wszystkich, którzy przeżyli. — Patrzył przed siebie, za oblodzony strumień i nie zauważył, że siostra spojrzała na niego z niepokojem. — Zabili rannych i tych, którzy się poddali, a nawet ludzi pracujących na pobliskich polach. Ścigali buntowników po całym kraju i zabijali ich bez litości. Niektórych zamknęli w stodole i spalili żywcem.

— Słodki Jezu. — Nigdy nie zwracała uwagi na opowieści o wojnach, ale tym razem słuchała z uwagą i przerażeniem.

— Rodzina Iana schroniła się w jaskini, kiedy Anglicy przeczesywali góry w poszukiwaniu powstańców. Ciotka Iana — ta, która teraz ma plantację — sama zabiła angielskiego żołnierza. Zastrzeliła go, kiedy chciał zamordować jej rannego męża.

Alanna z trudem przełknęła ślinę.

— Wydaje mi się, że pan MacGregor przesadza. Brian zwrócił na nią swoje poważne myślące spojrzenie.

— Nie przesadza — odrzekł krótko. — Czy myślisz, że i tutaj dojdzie do takich rzeczy, kiedy wybuchnie bunt?

Zacisnęła ręce na wieńcu tak mocno, że gałązka ostrokrzewu przebiła jej rękawiczkę.

— Nie będzie żadnego buntu. Rząd na pewno się opamięta. A jeśli Ian MacGregor twierdzi coś innego...

— To nie tylko zdanie Iana. Nawet Johnny tak mówi i ludzie w wiosce, Ian sądzi, że zniszczenie herbaty w Bostonie to dopiero początek rewolucji, do której wszystko zmierza, odkąd Jerzy III wstąpił na tron. Ian mówi, że czas już zrzucić brytyjskie jarzmo i ogłosić się wolnymi ludźmi.

— Ian mówi, Ian mówi — powtarzała zniecierpliwiona. — Zdaje się, że Ian w ogóle mówi za dużo. Zanieś wieńiec do domu, Brian. Powieszę go na drzwiach, kiedy tylko znajdę wolną chwilę. — Z tymi słowami odeszła szybkim krokiem.

Brian patrzył w ślad za nią. Doszedł do wniosku, że siostrę jednak nie do końca opuścił zły humor.

Ianowi spodobała się praca w gospodarstwie. Cieszył się, że w ogóle jest z d o l n y do p r a c y . R a m i ę miał nadal drętwe, ale najsilniejszy ból minął. Dzięki Bogu, tego dnia Alanna nie zmusiła go do wypicia swojej ohydnej mikstury..

Nie chciał o niej myśleć. Żeby skupić się na czymś innym, wziął zgrzebło i zaczął czyścić swojego konia. Trzeba go było przygotować do podróży, którą odkładał już od dwóch dni.

Wiedział, że dawno powinien ruszyć w drogę. Doszedł do siebie na tyle, żeby odbyć krótką podróż. Co prawda nierozsądnie byłoby pokazywać się teraz w Bostonie, ale mógł etapami dojechać do Wirginii i spędzić tam kilka tygodni z ciotką, wujem i kuzynami.

List, który Brian zaniósł do wioski, płynął już pewnie statkiem do jego rodziny w Szkocji. Dowiedzą się z niego, że jest cały i zdrowy, i że nie przyjedzie do nich na święta.

Matka na pewno uroni kilka łez. Chociaż ma jeszcze inne dzieci i wnuki, będzie jej smutno, że pierworodnego syna zabraknie przy świątecznym stole. Oczyma wyobraźni widział płonący na kominku ogień, zapalone świece, czuł zapach smakowitych potraw, słyszał śmiech i śpiewanie. Serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl, że to wszystko go ominie.

A jednak chociaż kochał swoją rodzinę, wiedział, że jego miejsce jest tutaj, w zupełnie innym świecie. Ma tu wiele do zrobienia. Kiedy tylko uzna, że to bezpieczne, skontaktuje się z kilkoma ludźmi: z Samuelem Adamsem, Johnem Avery i Paulem Revere. Musi się też dowiedzieć, jakie nastroje zapanowały w Bostonie i innych miastach, kiedy rozeszła się wiadomość o "herbatce".

Mimo to ociągał się z wyjazdem i oddawał się marzeniom, chociaż powinien działać. Idąc za głosem rozsądku trzymał się z dala od Alanny. Nie potrafił tylko wyrzucić jej ze swych myśli.

— Tutaj jesteś! — rozległ się czysty, dźwięczny głos.

Alanna stanęła przed nim zdyszana i oparta dłonie na biodrach. Kaptur zsunął się jej z głowy i włosy opadły w czarnych puklach na prostą szarą suknię.

— Tutaj — potwierdził. Z wrażenia tak mocno zacisnął dłoń na zgrzeble, że aż zbieleły mu kostki.

— Dlaczego nabijasz dziecku głowę tymi bredniami? Chciałbyś, żeby zdjął strzelbę ze ściany i zaatakował pierwszego brytyjskiego żołnierza, który stanie mu na drodze?

— Przypuszczam, że mówisz o Brianie? — spytał, kiedy umilkła dla zaczerpnięcia tchu. — Ale poza tym nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

— Żałuję, że w ogóle zjawiłeś się pod naszym dachem. — Zaczęła krążyć niespokojnie wokół niego. Jej oczy ciskały błyskawice i Ian bał się, żeby słoma w stodole się od nich nie zajęła. — Od pierwszej chwili są z tobą same kłopoty. Gdybym wiedziała, że tak będzie, być może zapomniałabym o swoich chrześcijańskich powinnościach i pozwoliłabym ci wykrwawić się na śmierć.

Mimowolnie uśmiechnął się i już chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do słowa.

— Najpierw przewróciłeś mnie na siano i siłą pocałowałeś, chociaż miałeś kulę w ramieniu. Potem, jeszcze niemal półprzytomny, całowałeś mnie w rękę i mówiłeś, że jestem piękna.

— Rzeczywiście. Należałoby mnie za to wychłostać — zgodził się z uśmiechem. — To była krańcowa bezczelność.

— Chłosta to za mało dla takiego jak ty — warknęła, unosząc dumnie głowę. — A potem, dwa dni temu, kiedy podałam ci śniadanie, na co wcale nie zasługiwałeś...

— Nie zasługiwałem — przytaknął.

— Nie odzywaj się, jeszcze nie skończyłam. Kiedy podałam ci śniadanie, posadziłeś mnie sobie na kolanach, jak jakąś... jakąś zwykłą...

— Brakuje ci słowa?

— Jak zwykłą latawicę. — Spojrzała na niego groźnie. — Wbrew mojej woli obejmowałeś mnie i całowałeś.

— Ty też odpowiedziałaś mi pocałunkiem, kochanie. — Poklepał konia po szyi. — I to z wielkim zapalem.

— Jak śmiesz? — aż sapnęła z oburzenia.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo jest zbyt ogólne. Jeśli pytasz o to, jak śmiałem cię pocałować, to muszę wyznać, że nie byłem w stanie się powstrzymać. Masz usta stworzone do całowania, Alanno.

Poczuła, że robi jej się gorąco i znów zaczęła krążyć wokół, chociaż nogi pod nią drżały.

— Szybko udało ci się opanować — wypomniała mu.

Zaskoczony uniósł brew. Nie gniewała się więc za to, że ją pocałował, ale za to, że trwało to tak krótko. Patrzył na nią w mroku stodoły i sam się dziwił, że udało mu się wtedy opanować. Teraz chyba by nie potrafił.

— Kochanie, jeśli rozdrażniła cię tak moja powściągliwość...

— Nie nazywaj mnie tak. Ani teraz, ani nigdy.

— Jak sobie pani życzy — zgodził się, dusząc w sobie śmiech. — Jak już powiedziałem

— Kazałam ci być cicho, dopóki nie skończę.

— Wzięła głęboki oddech. — O czym to ja mówiłam?

— O całowaniu — szeroko uśmiechnięty zrobił krok ku niej. — Może odświeżę ci pamięć?

— Nie zbliżaj się — ostrzegła i chwyciła widły.

— Opisywałam tylko kłopoty, jakie sprowadziłeś do mojego domu. A teraz na dodatek nabijasz Brianowi głowę mrzonkami o rewolucji. Nie pozwolę na to, MacGregor. To jeszcze dziecko.

— Chłopak zadawał mi pytania, a ja tylko na nie odpowiadałem zgodnie z prawdą.

— Ale opowiadałeś o tym wszystkim jak o romantycznych, bohaterskich wyczynach. Nie pozwolę, żeby zaplątał się w wojnę, która wcale go nie dotyczy. Nic chcę go stracić, jak straciłam Rory'ego.

— Ta wojna będzie dotyczyła nas wszystkich, Alanno — odrzekł. Okrążył ją ostrożnie, starając się trzymać z dala od zębów wideł. — Kiedy nadejdzie czas, wszyscy do niej przystąpimy i wygramy.

— Oszczędź sobie próżnego gadania.

— Dobrze. — Błyskawicznym ruchem chwycił za trzonek wideł, uchylił się przed ostrymi zębami i przyciągnął Alannę do siebie. — Gadanie już mnie zmęczyło.

Tym razem był przygotowany na to, że pocałunek wywoła w nim burzliwą reakcję. Tak jak za pierwszym razem zakreśliło mu się w głowie. Miała chłodną twarz, więc rozgrzewał ją wargami, przesuwał nimi po aksamitnej skórze, aż zaczęła drżeć. Zatopił dłoń w jej włosach, drugą ręką przytulił mocniej do siebie.

— Alanno, ty też mnie pocałuj — wyszeptał z ustami przy jej ustach. Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami. — Jeśli tego nie zrobisz, oszaleję.

— W takim razie zrobię to — uległa i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Kolana się pod nim ugięły, kiedy bez wahania i fałszywej skromności pocałowała go namiętnie i śmiało. Przywarła do niego całym ciałem i z radością poczuła, że jego serce bije tuż obok jej serca.

Zapamiętała na zawsze zapach siana i zwierząt, wirujące w powietrzu drobiny kurzu, oświetlane smugami światła, przedzierającego się do wnętrza przez szpary między belkami. Zapamiętała też dotyk jego mocnego ciała, żar ust i cichy jęk. Chciała zapamiętać to wszystko jak najlepiej, ponieważ wiedziała, że taka chwila już się nie powtórzy.

— Puść mnie — wyszeptała.

Wtulił twarz w słodki, wonny łuk jej szyi.

— Chyba nie potrafię — odparł.

— Musisz. Nie po to tu przyszedłam.

Przesunął wargami po skraju jej ucha i uśmiechnął się, kiedy zadrżała. — Naprawdę chciałaś mnie przebić widłami?

— Naprawdę.

Uśmiechnął się znów, ale wierzył, że mówi prawdę.

— Tak, byłoby cię na to stać — wyszeptał i lekko chwycił zębami płatek jej ucha.

— Przestań. — Mimo protestów odchyliła głowę, jakby dopominając się o następne pieszczoty. Pragnęła, żeby to trwało wiecznie. — To nie jest w porządku, tak nie można.

Spojrzał na nią poważnie.

— Wydaje mi, że właśnie tak powinno być. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że postępujemy dobrze.

Bardzo chciała wtulić się w niego mocniej, ale powstrzymywała się resztką woli.

— Nic z tego nie będzie. Ty masz swoją wojnę, ja muszę dbać o rodzinę. Nie oddam serca wojownikowi. Nic na to nie poradzę.

— Do diabła, Alanno...



— Chcę cię o coś prosić — mówiąc to szybko wysunęła się z jego ramion i stanęła obok. Gdyby spędziła w nich jeszcze chwilę, mogłaby zapomnieć o rodzinie i skrytych nadziejach na przyszłość. — Możesz to uznać za świąteczny prezent od ciebie dla mnie.

Zastanawiał się, czy Alanna zdaje sobie sprawę, że w tej chwili oddałby jej wszystko, nawet własne życie.

— Czego pragniesz? — zapytał.

— Żebyś został z nami na święta. To bardzo ważne dla Briana. — Chciał coś wtrącić, ale mu nie pozwoliła. — Poza tym proszę, żebyś nie rozmawiał z nikim o wojnach i buntach, dopóki nie skończy się świąteczny czas.

— Prosisz o tak niewiele.

— Dla mnie to bardzo wiele.

— Masz więc moje słowo.

Cofnęła się o krok, ale on stanowczo ujął jej dłoń, uniósł do ust i pocałował.

— Dziękuję. — Szybko ukryła dłoń za plecami. — Czeka na mnie praca. — Śpiesznie ruszyła do drzwi, ale zatrzymał ją jego głos.

— Alanno, to, co robimy, jest dobre i słuszne. Nic nie odpowiedziawszy wsunęła kaptur na głowę i wyszła na podwórze.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ku radości Alanny w wigilię również padał śnieg. W skrytości ducha liczyła na to, że rozszałe się zamieć i nie pozwoli Ianowi odjechać. Wiedziała, że za dwa dni zamierza ich opuścić. Śnieg dodawał jej otuchy, kiedy otulona szalem i peleryną szła rano wydoić krowy.

Jeśli Ian zostanie, wcale nie będzie szczęśliwa. Jeśli odjedzie, serce jej pęknie. Westchnęła i chwilę patrzyła na wirujące wokół płatki. Najlepiej będzie, jeśli przestanie o nim myśleć i skupi się na pracy.

Jedynym dźwiękiem na podwórzu był odgłos jej kroków i chrzęst pękającej pod butami cienkiej skorupy zlodowaciałego śniegu. Potem rozległ się szczęk otwieranego skobla i skrzypienie drzwi. Wzięła cebrzyki i ruszyła do zagrody dla krów, kiedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Krzyknęła cicho, podskoczyła i z hałasem upuściła cebrzyki.

— Bardzo przepraszam, pani Flynn. — Ian śmiał się od ucha do ucha na widok jej wystraszonej miny. — Zdaje się, że cię zaskoczyłem.

Zwymyślałaby go, gdyby nie brakowało jej tchu w piersi. Nie potrafiłaby mu spojrzeć w oczy, gdyby wiedział, że przed chwilą wdychała tak głośno właśnie z jego powodu.

— Dlaczego się tu czaisz? — spytała zaczepnie, kiedy udało jej się chwycić powietrze.

— Wyszedłem z domu tuż za tobą — wyjaśnił. Rozmyślał całą noc i doszedł do wniosku, że z Alanną należy postępować cierpliwie. — Pewnie śnieg zagłuszył moje kroki.

Dobrze wiedziała, że pozwoliła mu się tak podejść, ponieważ była pogrążona w marzeniach i n i c do n i e j n i e docierało. B a r d z o ją to rozzłościło. Schyliła się po cebrzyki w tej samej chwili, co on. Zderzyli się głowami, a ona zaklęła cicho.

— Czego ty chcesz, MacGregor? Oprócz tego, że najwyraźniej postanowiłeś wystraszyć mnie na śmierć.

Tylko spokojnie, nakazał sobie w duchu, rozcierając głowę. Zachowa cierpliwość, choćby to miało go zabić.

— Chcę ci pomóc w dojeniu — wyjaśnił.

— Dlaczego? — Ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy.

Ian westchnął głęboko. Trudno mu będzie zachować cierpliwość, skoro Alanna kwestionuje każde jego słowo.

— Ponieważ zauważyłem, że masz zbyt wiele obowiązków jak na jedną kobietę.

— Potrafię zadbać o rodzinę — oświadczyła dumnie.

— Nie wątpię — odrzekł równie chłodno. Znów razem schylili się po cebrzyki, Ian skrzywił się. Alanna stanęła wyprostowana sztywno jak kij i zaczęła, aż Ian je podniesie.

— Doceniam twoją propozycję, ale... — zaczęła.

— Chcę tylko wydoić przekłętą krowę, Alanno. — Nie myślał już o zachowaniu cierpliwości. — Nie potrafisz przyjąć pomocy w tak drobnej sprawie?

— Potrafię — wycedziła, a potem odwróciła się na pięcie i podeszła do pierwszej zagrody.

Wcale nie potrzebuję jego pomocy, myślała ze złością, zdejmując rękawiczki. Sama potrafię wykonać wszystkie swoje obowiązki. Co on sobie myślał, mówiąc, że ma za dużo pracy? Przecież wiosną było jej dwa razy więcej, trzeba było siać, zajmować się ogrodem i hodować zioła. Była silną, zdolną do pracy kobietą, a nie jakąś tam słabą, mazgajową dziewczyną.

Pewnie jest przyzwyczajony do miejskich dam o cukierkowatych twarzach, trzepoczących rzęsami znad wachlarza. Cóż, ona nie była damą w jedwabnej sukni i pantofelkach z kozłej skóry. Wcale się tego nie wstydziła. Spojrzała groźnie w kierunku Iana. Jeśli mu się wydaje, że chciałaby się dostać na salony, to bardzo się myli.

Odrzuciła dumnie głowę i wprawnym ruchem przystąpiła do dojenia. Już po chwili strumyki mleka rytmicznie pociekły do cebrzyka.

Ian doił swoją krowę z wiele mniejszą wprawą. Co za niewdzięczna kobieta, myślał. Przecież chciał jej tylko pomóc. Każdy głupiec by spostrzegł, że praca pochłania ją od świtu do nocy. Jeśli nie doiła krów, to gotowała, piekła, przędła na kołowrotku albo szorowała podłogi.

Kobiety w jego rodzinie nie były damami spędzającymi beczynnie całe dni, ale zawsze miały kogoś do pomocy. Ojciec i bracia Alanny chyba nie zdawali sobie sprawy, jak ciężkie obowiązki na niej spoczywają. Cóż, on jej pomoże, nawet jeśli będzie miał to uczynić wbrew jej woli.

Napełniła swój cebrzyk na długo przed Ianem i czekała na niego, niecierpliwie przytupując. Kiedy skończył, chciała wziąć jego cebrzyk, ale nie chciał go oddać.

— Co ty robisz?

— Chcę zanieść mleko do kuchni — odpowiedział lekko już poirytowany i wziął oba cebrzyki.

— A to dlaczego?

— Bo są ciężkie — zagrzmiał zniecierpliwiony, a potem wymamrotał pod nosem coś o upartych babach.

— Jak będziesz tak kołysał cebrzykami, to więcej wylejesz niż doniesiesz — pouczyła go. Bąknął coś w odpowiedzi, ale nie zrozumiała jego słów, wyczuła jedynie, że nie było to nic miłego. — Skoro ty zanieś mleko, ja mogę zebrać jaja.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Kiedy Alanna wróciła do kuchni, zastała tam Iana. Dokładał drewno do ognia.

— Jeśli czekasz na śniadanie, to musisz uzbroić się w cierpliwość — ostrzegła.

— Pomogę ci — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— W czym chcesz mi pomóc?

— W przygotowywaniu śniadania.

To przebrało miarkę. Z rozmachem postawiła koszyk na stole, nie dbając o to, ile jajek się przy tym stłucze.

— Nie smakuje ci to, co gotuję, MacGregor? Miał ochotę złapać ją za ramiona i mocno potrząsnąć.

— Smakuje mi — odparł zachowując spokój.

— Hmm. — Podeszła do kuchni i zaczęła przygotowywać kawę. Kiedy się odwróciła od paleniska, niemal na niego wpadła. — Jeśli koniecznie chcesz się pętać po kuchni, to przynajmniej nie wchodź mi w drogę.

— Zawsze jest pani taka pogodna od samego rana, pani Flynn? — odparł.

Nie zamierzała zaszczycać go odpowiedzią. Wzięła przyniesioną z wędzarni szynkę i zaczęła ją kroić. Starając się nie zwracać na niego uwagi, przygotowała ciasto na naleśniki, które uważała za swoją specjalność. Już ona pokaże temu MacGregorowi, że jest doskonałą kucharką.

On tymczasem hałaśliwie rozstawiał naczynia na stole, chcąc jej udowodnić, że jest bardzo pomocny. Kiedy zjawili się ojciec i bracia, kuchnię wypełniał smakowity zapach i atmosfera ciężka od napięcia.

— Naleśniki! — zawołał z entuzjazmem Johnny. — To świetny początek wigilijnego dnia.

— Masz rumieńce, córko — zauważył Cynis, zajmując miejsce za stołem. — Czy ty się czasem nie rozchorujesz?

— To tylko żar od kuchni — warknęła opryskliwie, ale zaraz czujne spojrzenie ojca sprawiło, że ugryzła się w język. — Do naleśników mam sos jabłkowy. Zrobiłam go jeszcze wczoraj.

Postawiła miskę z sosem na stole i poszła po kawę. Była zirytowana, ponieważ Ian nie odrywał od niej wzroku. Pośpiesznie sięgnęła po dzbanek, zapominając, że ucho jest nadal gorące i boleśnie sparzyła sobie palce. Krzyknęła cicho i mruknęła coś pod nosem.

— Nie ma co się złościć na własną nieuwagę

— pouczył ją Cyrus, ale natychmiast wstał i posmarował jej oparzone palce zimnym masłem.

— Jesteś ostatnio bardzo rozdrażniona, Alanno. Co się dzieje?

— Nic takiego — zrobiła obojętną minę i lekceważąco machnęła ręką. — Siadaj, tato. Wszyscy siadajcie i jedzcie. Chcę się was jak najszybciej pozbyć z kuchni, żeby dokończyć pieczenie.

— Mam nadzieję, że upieczesz też ciasto z rodzynkami — odezwał się Johnny, nakładając sobie na talerz wielką porcję sosu jabłkowego. — Nikt nie potrafi upiec lepszego. Twoje, nawet przypalone, jest najlepsze.

Roześmiała się bez większego zapału. Nie miała już apetytu na śniadanie, co wszystkim wyszło na dobre, ponieważ mężczyźni nie zostawili ani okruszka z postawionych na stole wiktuałów.

Z ulgą powitała ich wyjście. Wkrótce już będzie miała całą kuchnię wyłącznie dla siebie. A gdy wreszcie zostanie sama, zastanowi się nad swymi uczuciami do Iana MacGregora.

Jednak po paru minutach MacGregor wrócił z wiadrzem pełnym wody.

— A teraz co znowu? — zapytała gniewnie, bezskutecznie starając się wsunąć niesforne kosmyki włosów pod czepek.

— Woda do zmywania.

Zanim zdołała się ruszyć, mężczyzna wlał już wodę do garnka na kuchni, żeby się zagotowała.

— Sama mogłam ją przynieść — powiedziała i natychmiast poczuła, że było to nieuprzejme. — Bardzo dziękuję — dodała.

— Nie ma za co. — odpowiedział Ian. Zdjął wierzchnie okrycie i powiesił na haczyku przy drzwiach.

— Nie wybierasz się do pracy z innymi?

— Ich jest trzech, a ty tylko jedna.

— To prawda, ale co z tego? — zapytała, przechylając głowę na bok.

— Więc dzisiaj będę pomagał tobie. Wiedziała, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu, więc chwilę wstrzymała się z odpowiedzią.

— Jestem zdolna... — zaczęła.

— I to bardzo. Wiem, bo widziałem — przerwał jej i zaczął sprzątać ze stołu. — Pracujesz jak wół roboczy.

— To nieprawda, a poza tym, co to za porównanie, jeśli mowa o kobiecie. A teraz wyjdź z mojej kuchni.

— Wyjdę, jeśli ty wyjdiesz ze mną.

— Mam pracę do zrobienia.

— Świetnie. W takim razie zabierajmy się do roboty.

— Będziesz mi przeszkadzał.

— Jakoś dasz sobie radę. — Już chciała coś odpowiedzieć, ale ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Kiedy doszła do siebie, powiedział: — Zostaję z tobą, Alanno. i koniec.

— Czyżby? — Z przerażeniem stwierdziła, że jej głos zabrzmiał słabo i piskliwie.

— Tak.

Odchrząknęła, odstepiła od niego o krok i wygładziła suknię. — W takim razie przynieś mi jabłka z piwniczki. Muszę upiec szarlotkę.

Podczas jego nieobecności starała się zapanować nad sobą. Dlaczego każdy jego pocałunek tak wytrąca ją z równowagi? Cóż, nie był to zwykły pocałunek, to był pocałunek Iana, a z nią działo się coś dziwnego. Czasami z całego serca pragnęła, żeby został dłużej pod jej dachem, po chwili zaś tak ją denerwował, że nie mogła znieść jego widoku, by wreszcie za moment dać mu się pocałować i pragnąć jeszcze więcej.

Urodziła się w Koloniach i była dzieckiem nowego świata, ale płynęła w niej irlandzka krew, więc przywiązywała wielkie znaczenie do takich słów jak los i przeznaczenie.

Szorując naczynia rozmyślała o tym, że jeśli jej przeznaczenie przybrało postać Iana MacGregora, czekają wiele kłopotów i zmartwień. Kiedy wrócił z piwniczki, dała mu porcję jabłek do obrania.

— To przecież proste — odezwała się, widząc jak niezgrabnie się do tego zabrał. — Trzeba tylko wsuwać nóż tuż pod skórkę.

— Tak zrobiłem.

— I odkroiłeś niemal pół jabłka. Trochę cierpliwości, a po pewnym czasie na pewno ci się uda. Uśmiechnął się do niej jakoś dziwnie.

— Też mam taką nadzieję, pani Flynn.

— Próbuje dalej — poleciała mu i zakłopotana wróciła do wałkowania ciasta. — Potem pozbierasz wszystkie te obierki, które zrzuciłeś na podłogę.

— Tak jest, pani Flynn.

Uniosła wałek i spojrzała na niego wojowniczo.

— Chcesz mnie zdenerwować, MacGregor? Spojrzał czujnie na kuchenną broń.

— Na pewno nie wtedy, kiedy trzymasz to w ręku, kochanie — odparł z powagą w głosie.

— Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał.

— Rzeczywiście, mówiłaś.

Wałkowała ciasto, podczas gdy on przyglądał się jej z przyjemnością. Miała szybkie ręce i zwinne palce. Nawet kiedy krążyła między stołem a piecem, w jej ruchach była taka lekkość i gibkość, że serce biło mu mocniej.

Kto by pomyślał, że musiał dać się postrzelić, wykrwawić niemal na śmierć i trafić do zagrody dla krów, żeby się zakochać?

Chociaż Alanna często go krytykowała i nerwowo podskakiwała, kiedy zbyt się do niej zbliżał, ten dzień był jednym z najmiłszych w jego życiu. Może obieranie jabłek nie było czynnością, którą

zamierzał często wykonywać, ale w ten sposób mógł być bliżej niej i wdychać otaczający ją lawendowy zapach, który zlewał się zmysłowo z wonią cynamonu, imbiru i goździków.

Chciał ulżyć jej trochę w zbyt ciężkich obowiązkach, chociaż lepiej czuł się na spotkaniach politycznych i z szablą w ręku, niż w kuchni.

Zauważył, że sama Alanna nie uznaje swoich obowiązków za zbyt ciężkie. Wydawała się zadowolona, kiedy tak trudziła się całymi dniami, od rana do nocy. Ian chciał jej pokazać, że istnieje coś więcej. Wyobrażał sobie, jak jada konno przez pola na plantacji jego ciotki. Najpiękniej byłoby tam latem, kiedy bujna zieleń przypominałaby jej Irlandię. Pragnął ją zabrać do Szkocji, pokazać jej wspaniałe szkockie góry. Chciał położyć się z nią na fioletowym wrzosowisku i słuchać wiatru szumiącego wśród sosen.

Pragnął jej podarować jedwabną suknię i klejnoty w kolorze jej oczu. Wiedział, że to sentymentalne, romantyczne obrazki. Gdyby chciał wyrazić je słowami, nie wiedziałby nawet, jak zacząć. Chciał dać wszystko tej kobiecie. Gdyby tylko potrafił ją skłonić, żeby cokolwiek od niego przyjęła...

Alanna czuła na plecach jego spojrzenie, zupełnie jakby dotykały ją jego palce. Prawdę mówiąc wolałaby palce, ponieważ mogłaby odsunąć je od siebie. Ze wszystkich sił starała się ignorować obecność Iana; wyłożyła ciastem pierwszą foremkę, odcięła brzegi i odstawiła na bok.

— Odkroisz sobie palec, jeśli dalej będziesz się na mnie gapił, zamiast uważać na to, co robisz — upomniała go.

— Włosy wysunęły się pani spod czepka, pani Flynn — odparł z uśmiechem.

Poprawiła czepkę, ale skutek był przeciwny od zamierzonego. Jeszcze więcej kosmyków wysunęło się z uwięzi.

— Nie podoba mi się twój ton, kiedy nazywasz mnie panią Flynn — rzekła.

Ian uśmiechnął się i odłożył obrane jabłko.

— Jak więc mam się do ciebie zwracać? Zabraniasz mi mówić do siebie kochanie, chociaż to do ciebie pasuje. Jesteś obrażona, gdy zwracam się

do ciebie po imieniu, bo mi na to nie pozwoliłaś. A teraz wpadasz w złość, kiedy z szacunkiem nazywam cię panią Flynn.

— Z szacunkiem, akurat! Pójdiesz do piekła za takie kłamstwa, Ianie MacGregor. — Rozbrojona pogroziła mu wałkiem. — W twoim głosie nie ma ani trochę szacunku. Za to uśmiechasz się bardzo podejrzanie i masz błysk w oczach. Jeśli myślisz, że nie wiem, co taki błysk oznacza, to się mylisz. Inni też już tego próbowali i dostali niezłą nauczkę.

— Słucham tego z przyjemnością... pani Flynn. Żachnęła się i wydała z siebie syczący dźwięk.

— Najlepiej, jak w ogóle nie będziesz się do mnie odzywał — powiedziała. — Sama nie wiem, dlaczego uległam Brianowi i poprosiłam cię, żebyś został z nami na Ś w i ę t a . Bóg widzi, że nie chcę cię tutaj. Płaczesz mi się po kuchni, mam przez ciebie więcej gotowania, a przy tym ciągle mnie zaczepiasz i obdarzasz względami, o które wcale nie proszę.

Ian oparty o blat stołu uśmiechnął się drwiąco.

— Pójdiesz do piekła za takie kłamstwa, kochanie — zażartował.

Wiedziona impulsem cisnęła w niego wałkiem i natychmiast tego pożałowała. Jeszcze bardziej żałowała, że Ianowi udało się chwycić wałek, zanim zderzył się z jego czołem.

Gdyby udało jej się go uderzyć, przeprosiłaby go skruszona i opatrzyłaby ranę. To, że uniknął jej wałka, zupełnie zmieniło postać rzeczy.

— Przeklęty Szkot — wycedziła z gniewem. — Diabelskie nasienie. Nicpoń i łobuz. — Ponieważ nie udało jej się trafić go wałkiem, chwyciła, co miała pod ręką. Na szczęście ciężka metalowa foremka do ciasta była pusta i Ianowi udało się ją odbić wałkiem, zanim trafiła go w głowę.

— Alanno...

— Nie nazywaj mnie tak — wrzasnęła i rzuciła cynowym kubkiem. Tym razem Ian nie wykazał się refleksem i naczynie uderzyło go w pierś.

— Kochanie...

Dźwięk, który wydobył się z jej ust przyprawiłby o drżenie nawet zaprawionego w bojach Szkota. Kolejne naczynie trafiło Iana w łydkę. Zanosząc się śmiechem zaczął podskakiwać na jednej nodze, gdy tymczasem Alanna szukała kolejnego pocisku.

— Wystarczy! — Wciąż się śmiejąc objął ją mocno i dwa razy obrócił się z nią wkoło, chociaż okładała go po głowie metalowym półmiskiem.

— Zakuty łeb! — wymyślała mu w ferworze walki.

— I całe szczęście, bo inaczej już leżałbym na marach! — Podrzucił ją lekko w górę i zręcznie chwycił w tali. — Powinna się pani nazywać MacGregor, pani Flynn. Wyjdź za mnie, Alanno.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jego słowa wstrząsnęły nie tylko Alanną. Wyrwały się mu zupełnie bezwiednie, choć niczego takiego nie planował. Owszem, zdawał sobie sprawę, że się zakochał, ale do tej pory jeszcze do niego nie dotarło, że pragnie się z nią ożenić. Małżeństwo z Alanną. Na tę myśl znów się roześmiał. Doskonały dowcip, oboje powinni się z niego śmiać.

Jego słowa nadal odbijały się echem w myślach Alanny. Była pewna, że tak właśnie powiedział. Ale to oczywiście niemożliwe. Przecież to czyste szaleństwo. Znali się dopiero kilka dni. Nawet tych kilka dni wystarczyło jednak, żeby się upewnić, że Ian MacGregor nie jest jej wymarzonym towarzyszem na resztę życia. Przy nim nie zaznałaby spokojnych wieczorów przy kominku; stale wybierałby się na jakąś wojnę, by walczyć o jakąś sprawę.

A jednak... kochała go mocno, dzikim i niebezpiecznym uczuciem. Życie z nim byłoby... byłoby... Nie potrafiła sobie nawet tego wyobrazić. Dotknęła ręką czoła. Nadal kręciło jej się w głowie. Potrzebowała chwili, żeby się nad tym zastanowić i opanować się. W końcu kiedy mężczyzna prosi kobietę o rękę, ona powinna chociaż...

Nagle zdała sobie sprawę, że Ian nadal trzyma ją wysoko nad ziemią i śmieje się jak szalony. Śmieje się. Oczy Alanny zmieniły się w dwie wąskie niebieskie szparki. A więc zażartował sobie jej kosztem. Najpierw podrzucił ją jak worek kartofli, a potem śmiał się do rozpuku. Co za osioł.

Jedną ręką wsparła się o jego bark dla lepszej równowagi, drugą zwinęła w pięść i wymierzyła mu cios prosto w nos.

Krzyknął z bólu i postawił ją na ziemi tak gwałtownie, że aż się zachwiała. Szybko odzyskała równowagę, oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

Ian ostrożnie dotknął palcami nosa. Oczywiście leciała z niego krew. Ta kobieta ma niezły cios. Spoglądając na nią czujnie sięgnął po chustkę.

— Czy to znaczy, że się zgadzasz?

— Wynoś się! — Była tak rozwścieczona, że głos jej drżał. — Wynoś się z mojego domu, ty nicponiu z piekła rodem! — Łzy napłynęły jej do oczu. Bardzo by teraz chciała rozplakać się tylko ze złości. — Gdybym była mężczyzną, na miejscu położyłabym cię trupem, a potem zatańczyła nad twoim zakrwawionym ciałem.

— Dobrze — ze zrozumieniem skinął głową i schował chustkę. — Chyba potrzebujesz trochę czasu do namysłu. Doskonale to rozumiem.

Alannę całkiem zamurowało. Jęknęła tylko i zasyczała coś niezrozumiale.

— Pomówię z twoim ojcem — ciągnął grzecznie Ian. Wydała wojenny okrzyk godny Indianina i chwyciła za nóż do obierania jabłek.

— Zabiję cię. Przysięgam na grób matki.

— Droga pani Flynn — zaczął i dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa chwycił ją za nadgarstek.



— Rozumiem, że prośba o rękę to czasem dla kobiety wielki wstrząs, ale to... — Urwał, kiedy zobaczył lzy spływające po jej policzkach. — Co to znaczy? — Zmieszany przesunął kciukiem po jej mokrej twarzy. — Alanno. najdroższa, nie płacz. Już raczej pchnij mnie tym nożem, tylko nie płacz.

— Kiedy jednak uwolnił jej rękę, odrzuciła nóż na bok.

— Zostaw mnie w spokoju, dobrze? Odejdź. Jak śmiesz tak mnie obrażać? Przeklinam dzień, w którym ocalałam ci życie.

Słyszając, że znów mu wymyśla, uspokoił się.

— Obraziłem cię? Ale jak? — zapytał zdziwiony.

— Jak? Śmiałeś się ze mnie. Mówiłeś o małżeństwie, jakby to był jakiś żart. Pewnie ci się wydaje, że skoro nie mam pięknych sukni i kapeluszy, to nic nie czuję i nie można mnie zranić?

— A co do tego mają kapelusze?

— Domyślam się, że wszystkie eleganckie panny z Bostonu śmieją się perliście i zalotnie trzepoczą wachlarzami, kiedy tak z nimi flirtujesz, ale dla mnie małżeństwo to poważna sprawa i nie mogę spokojnie słuchać, kiedy się oświadczasz, jednocześnie śmiejąc mi się prosto w twarz.

— Dobry Boże. — Kto by pomyślał, że on, cieszący się sławą lwa salonowego i człowieka obytego towarzysko, nie będzie umiał stosownie załatwić tak ważnej sprawy? — Zachowałem się jak głupiec. Alanno. Proszę, wysłuchaj mnie.

— Widocznie jesteś głupcem, skoro tak się zachowujesz. A teraz zabieraj łapy.

Przyciągnął ją bliżej.

— Chcę się tylko wytłumaczyć.

Zanim zdążył powiedzieć więcej, drzwi się otworzyły i stanął w nich Cyrus Murphy. Jednym spojrzeniem objął kuchenne pobojuwisko, zobaczył córkę wyrrywającą się z objęć Iana i szybko sięgnął po wiszący u pasa myśliwski nóż.

— MacGregor, natychmiast puść moją córkę i szykuj się na śmierć.

— Tato! — Alanna spojrzała szeroko rozwartymi oczami na pobladłego z gniewu ojca i na nóż w jego rękę. Odruchowo zasłoniła Iana własnym ciałem. — Nie rób tego!

— Odsuń się, dziecko. Murphy potrafią bronić siebie i swoich najbliższych.

— To nie jest tak, jak ci się wydaje — zaczęła.

— Zostaw nas samych, Alanno — odezwał się Ian. — Porozmawiam z twoim ojcem.

— Akurat. — Przybrała wojowniczą pozę. Przed chwilą sama miała ochotę upuścić mu krwi — i w zasadzie to zrobiła — ale nie zamierzała dopuścić, żeby zabił go jej ojciec. Zwłaszcza że przez dwa dni ciężko pracowała, żeby wyrwać go ze szponów śmierci. — Tato. pokłóciliśmy się. Sama dam sobie radę. On tylko...

— Ja tylko oświadczyłem się pana córce — dokończył za nią Ian. Jego słowa znów rozwścieczyły Alannę.

— Ty kłamliwy chytry lisie! Nie mówiłeś poważnie. Śmiałeś się przy tym jak szaleniec. Nie pozwolę się obrażać! Nie będę słuchać, jak...

— Dobrze, ale teraz zamilcz! — ryknął Ian, a Cyrus z aprobatą uniósł brew, kiedy spostrzegł, że Alanna rzeczywiście umilkła. — Wszystko to mówiłem jak najbardziej poważnie — ciągnął. Jego głos nadal grzmiał jak ryk huraganu. — Jeśli się śmiałem, to z samego siebie, że taki ze mnie głupiec. Zakochałem się w upartej pyskatej złošnicy, która częściej rzuca się na mnie z pięściami, niż się do mnie uśmiecha.

— W złošnicy? — powtórzyła piskliwym z oburzenia głosem. — Ja jestem złošnicą?

— Owszem, jesteś złośnicą — potwierdził Ian i z rozmachem skinął głową. — Właśnie tak powiedziałem. Na dodatek jesteś...

— Wystarczy. — Cyrus strząsnął śnieg z włosów.

— Słodki Jezu, co to za dobrana para — mruknął pod nosem. Po krótkim namyśle wsunął nóż do pochwy. — Włóż coś ciepłego, MacGregor, i chodź ze mną. Alanno, zostań tutaj.

— Ale tato, ja...

— Zrób, jak ci mówię, córko. — Skinął na Iana.

— Przez te wszystkie krzyki i awantury można łatwo zapomnieć, że to wigilia Bożego Narodzenia.

— Zatrzymał się tuż za progiem i oparł ręce na biodrach gestem, który odziedziczyła po nim córka.

— Mam pewną pracę do wykonania — zwrócił się do Iana. — Pójdiesz ze mną i po drodze mi się wytłumaczysz.

— Dobrze. — mówiąc to Ian rzucił ostatnie rozwścieczone spojrzenie na okno, za którym stała Alanna z nosem rozplaszczonym na szybie. — Już idę.

Przeszli przez pokryte śniegiem podwórze. Biały puch nadal sypał się z nieba.

— Zaczekaj tutaj — polecił Cyrus. Wszedł do niewielkiej szopy i po chwili wyłonił się z jej wnętrza z siekierą w rękę. Widząc niespokojne spojrzenie Iana, zarzucił ją sobie na ramię. — Nie zamierzam jej użyć przeciwko tobie — uspokoił go. — Przynajmniej na razie.

Ruszył w stroni? lasu, a Ian podążył za nim.

— Alanna przywiązuje wielką wagę do świąt. Tak samo jak kiedyś jej matka. — Poczul ukłucie w sercu, jak zawsze, gdy myślał o żonie. — Na pewno ucieszy ją choinka. Poza tym potrzebuje czasu, żeby trochę ochłonać.

— Czy to w ogóle możliwe? — powątpiewał Ian.

Cyrus z przyzwyczajenia wypatrywał zwierzęcych tropów na śniegu. Wkrótce będą potrzebować świeżej dziczyzny.

— Pragniesz się związać z moją córką — odezwał się po chwili. — Można wiedzieć, co cię do tego skłoniło?

— Jak tylko znajdę choć jeden rozsądny powód, od razu to panu powiem — śmiejąc się Ian z sykiem wciągnął powietrze. — Poprosiłem ją o rękę, a ona rozkwasiała mi nos. — Pomacał obolały organ i uśmiechnął się raz jeszcze. — Panie Murphy, ja chyba oszalałem albo zakochałem się w tej kobiecie. Zresztą to na jedno wychodzi. Chcę pojąć ją za żonę.

Cyrus zatrzymał się przed niewielką sosną i przyjrzał się jej uważnie, ale zaraz ruszył dalej.

— Jeszcze zobaczymy, czy tak będzie — stwierdził.

— Nie jestem biedny — oznajmił Ian. — Przekłęci Brytyjczycy nie odebrali mi wszystkiego w czterdziestym piątym. Potrafiłem też dobrze zainwestować pieniądze. Zapewnię jej dostatnie życie.

— Może zapewnisz, a może nie będziesz miał do tego okazji. Poślubiła Michaela Flynna, chociaż miał tylko kilka akrów kamienistej ziemi i dwie krowy.

— Nie będzie musiała pracować od rana do wieczora.

— Alanna nie ma nic przeciwko temu. Jest dumna z tego, że tyle potrafi. — Cyrus zatrzymał się przed kolejnym drzewkiem, skinął głową i wręczył siekierę Ianowi. — To będzie dobre. Kiedy człowiek się zdenerwuje, nie ma nic lepszego, niż trochę pomachać siekierą.

Ian stanął na szeroko rozstawionych nogach i zamachnął się z całej siły. Wokół posypały się odłamki drzewa.

— Wiem, że nie jestem jej obojętny — wysapał.

— Być może — zgodził się Cyrus. Wyjął z kieszeni fajkę. — Zawsze krzyczy i złości się na tych, których najbardziej kocha.

— W takim razie mnie kocha do szaleństwa — stwierdził Ian z ponurą miną, wbijając siekierę w pień drzewa. — Ona będzie moja, z pana błogosławieństwem czy bez.

— To oczywiste. — Cyrus starannie nabijał fajkę. — Jest dorosłą kobietą i sama o sobie stanowi. Powiedz mi, MacGregor, czy będziesz walczył z Brytyjczykami z takim samym zapałem, z jakim zalecasz się do mojej córki?

Ian znów zamachnął się siekierą. Ostrze ze świstem przecięło powietrze i głucho uderzyło w pień.

— Owszem, będę.

— Ostrzegam cię więc, że może być ci trudno pogodzić obie te sprawy — rzekł Cyrus cicho i zapalił zapałkę, pocierając nią o kamień. — Alanna nie chce słyszeć o żadnej wojnie.

Ian wyprostował się.

— A pan?

— Nie przepadam za Brytyjczykami ani za ich królem. — Obłok dymu tytoniowego uniósł się znad fajki. — Ale nawet gdybym ich popierał, to i tak bym spostrzegł, na co się zanosi. Może to potrwa rok czy dwa, może dłużej, ale z pewnością wybuchnie wojna. Będzie długa i krwawa, a ja mam dwóch synów, którzy mogą na niej zginąć — westchnął ciężko. — Wcale nie wyczekuję tej twojej wojny, MacGregor, ale przyjdzie taki czas, że trzeba będzie stanąć do walki o swoje.

— Wojna już się zaczęła, panie Murphy. To, czy ktoś jej chce, czy nie, nie odmieni biegu historii.

Drzewko miękko opadło na śnieg. Cyrus przyjrzał się Ianowi uważnie. Zobaczył silnego, przystojnego mężczyznę. Ma dobry charakter i nazwisko, pomyślał z wahaniem. Niepokoila go jednak jego buntownicza natura.

— Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Będziesz siedział i czekał na rozwój wypadków, czy wyjdiesz temu naprzeciw?

— MacGregorowie nie czekają beczynn timer, jeśli im na czymś zależy. Bez niczyj timer wezwania ruszają do walki.

Cyrus skinął głową. Razem podnieśli drzewko z ziemi.

— Jeśli chodzi o Alannę, nie będę stał ci w drodze. Radź sobie z nią sam.

Alanna podbiegła do drzwi, gdy tylko usłyszała głos Iana.

— T a t o , c h c ę ... Ojej! — Zatrzymała się jak w r y t a na widok ojca i Iana z choinką. — Ścieliście drzewko na święta!

— Myślałaś, że o tym zapomnę? — Cyrus zdjął czapkę i wsunął do kieszeni. — Przecież ciągle mi o tym przypominałaś.

— Dziękuję — uśmiechnęła się i z wielką ulgą ucałowała go w oba policzki. — Jest piękne.

— Pewnie zechcesz zawiesić na nim wstążki i Bóg wie co — zrzędził Cyrus, ściskając córkę serdecznie.

— Mam u siebie pudło z ozdobami choinkowymi mamy. — Bardzo dobrze rozumiała ojca. Pocałowała go jeszcze raz. — Przyniosę je tu po kolacji.

— Ja mam jeszcze trochę pracy. Możesz wykorzystać MacGregora do pomocy w ustawianiu drzewka. — Poklepał ją lekko po ręce i wyszedł.

— Ustaw je przy oknie, jeśli łaska. — Alanna odchrząknęła cicho.

Ian przyciągnął choinkę do okna i ustawił pionowo na desce, którą Cyrus przybił do pnia. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szelest gałęzi i strzelanie ognia w kominku.

— Dziękuję — powiedziała sztywno. — Teraz możesz się zająć swoimi sprawami.

Wziął ją za rękę, zanim zdążyła uciec przed nim do kuchni.

— Ojciec pozwolił mi się z tobą ożenić. Próbowала wyrwać dłoń z jego uścisku, ale bezskutecznie, więc szybko zrezygnowała.

— Sama decyduję o sobie — oznajmiła hardo.

— Będzie pani moja, pani Flynn.

Chociaż był od niej o wiele wyższy, jakimś cudem udało jej się spojrzeć na niego z góry.

— Prędzej poślubię wściekłego skunksa.

Ian postanowił sobie, że tym razem zrobi wszystko jak należy. Uniósł jej sztywną dłoń do ust.

— Kocham cię, Alanno.

— Przestań. — Drugą rękę położyła sobie na trzepoczącym z przejęcia sercu. — Nie mów tak.

— Mówię tak, bo tak czuję. I będę to powtarzał do końca życia.

Zbita z tropu patrzyła w jego niebieskozielone oczy, które tak często widywała w snach. Umiała sobie radzić z jego bezczelnością i skandalicznym zachowaniem, ale była bezbronna wobec tej prostej, niemal pokornej deklaracji uczuć i oddania.

— Ian, proszę... — wyszeptowała.

Słyszając, że wreszcie zwróciła się do niego po imieniu, nabrał otuchy. Wyraz jej oczu też mówił wiele o jej uczuciach.

— Nie powiesz mi, że jestem ci obojętny. Bezwiednie dotknęła jego twarzy.

— Nie, tak nie powiem. Na pewno zgadujesz, co do ciebie czuję, za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę.

— Wspólne życie jest nam pisane — powiedział cicho. Nie odrywając od niej oczu, przycisnął jej dłoń do ust. — Wiem to od chwili, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem.

— To wszystko dzieje się zbyt szybko — odparła. W jej sercu gościły jednocześnie strach i dziwna tęsknota.

— I właśnie tak jest dobrze. Zapewnię ci szczęśliwe życie. Wybierzesz sobie dom w Bostonie wedle własnego życzenia.

— W Bostonie? — zdziwiła się.

— Tam byśmy zamieszkali, przynajmniej na jakiś czas. Mam jeszcze pewną pracę do wykonania. Potem pojechalibyśmy do Szkocji, mogłabyś odwiedzić swoją ojczyznę.

Ona jednak już go nie słuchała. — — Praca. Co to za praca? — zapytała nieufnie. Jego oczy przesłoniła jakaś chmura.

— Dałem ci słowo, że o wojnie będę mówił dopiero po świętach.

— To prawda — mówiąc to czuła, że serce stygnie jej w piersiach. Wzięła głęboki oddech i spuściła wzrok. — Mam w piecu ciasto. Muszę je wyjąć.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Spojrzała na stojącą za nim choinkę. Nie była jeszcze przystrojona, a już kryło się w niej tyle nadziei.

— Muszę cię prosić o czas do namysłu. Jutro dam ci odpowiedź.

— Przyjmę tylko jedną odpowiedź.

— I tylko jedną odpowiedź ode mnie dostaniesz — odparła z rezerwowym uśmiechem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wokół rozchodził się zapach sosny, dymu i lekka woń duszonego mięsa. Na stole przy kominku Alanna ustawiła odziedziczoną po matce piękną szklaną wazę do ponczu. Odkąd sięgała pamięcią, ojciec osobiście przyrządzał świąteczny poncz, nie szczędząc irlandzkiej whisky. W bursztynowym napoju odbijały się błyski ognia w kominku i płomyki świec na choince. Obiecała sobie, że wigilijny wieczór i pierwszy świąteczny dzień będą wypełnione wyłącznie radością.

Zauważyła, że cokolwiek zaszło rano między jej ojcem a Ianem, teraz byli już najlepszymi przyjaciółmi. Cyrus wcisnął kubek z ponczem w dłoń MacGregora, a potem napełnił drugi dla siebie. Zanim Alanna zdążyła zaprotestować, Brian również dostał trochę świątecznego trunku.

Na pewno tej nocy wszyscy będą spali jak zabici, stwierdziła beztrąsko i już miała nalać sobie ponczu, kiedy usłyszała odgłos zajeżdżającego wozu.

— To pewnie Johnny — domyśliła się. — Lepiej, żeby miał jakieś dobre wytłumaczenie, dlaczego nie wrócił na kolację.

— Pojechał zalecać się do Mary — mruknął Brian.

— Być może, ale... — urwała, ponieważ w progu stanął jej brat z Mary Wyeth u boku. Alanna odruchowo rozejrzała się, by sprawdzić czy wszystko wygląda jak należy. — Mary, jak miło cię widzieć. — Na powitanie ucałowała dziewczynę w policzek. Mary była trochę niższa i pulchniejsza od niej, miała błyszczące, jasne włosy i rumiane policzki. Tego wieczora wydawały się jeszcze bardziej rumiane niż zwykle. Pewnie od zimna, albo od zalotów Johnny'ego.

— Wesółych świąt — powiedziała Mary nieśmiało i splotła nerwowo dłonie. — O, jaka piękna choinka.

— Podejdz do ognia, pewnie zmarzłaś. Daj mi pelerynę i szal.

Spojrzała niecierpliwie na brata, który stał obok i tylko uśmiechał się z cielęcym zachwytem. — Johnny, przynieś Mary kubek ponczu i trochę ciasteczek.

— Już się robi — chłopak pośpiesznie napełnił kubek, oblewając sobie palce napojem. — Wzniesiemy toast — oznajmił, odchrząknąwszy przedtem kilkakrotnie. — Zdrowie mojej przyszłej żony. — Ujął narzeczoną za rękę, żeby dodać jej śmiałości.

— Mary przyjęła dziś moje oświadczenia.

Alanna serdecznie objęła zarumienioną dziewczynę.

— Tak się cieszę. Witaj w rodzinie. Chociaż prawdę mówiąc nie wiem, jak ty z nim wytrzymasz.

Cyrus zawsze miał kłopot z wyrażaniem uczuć, więc teraz tylko szybko cmoknął dziewczynę w policzek i z rozmachem klepnął syna po ramieniu.

— Wypijmy więc zdrowie mojej nowej córki

— powiedział. — Dałeś nam piękny świąteczny prezent, Johnny.

— Przydałaby się nam muzyka — zwróciła się Alanna do młodszego z braci. Ten skinął głową i natychmiast przyniósł swój flet. — Zagraj coś skocznego — poleciła mu. — Narzeczeni zatańczą jako pierwsi.

Brian oparł jedną nogę na krześle i zaczął grać. Alanna poczuła na ramieniu dłoń Iana i delikatnie przesunęła po niej palcami.

— Cieszysz się, że będzie ślub? — zapytał cicho.

— O, tak. — Z całym uśmiechem patrzyła na brata tańczącego z narzeczoną. — Ona da mi szczęście. Na pewno stworzą razem udaną rodzinę, a tego właśnie dla niego pragnę.

Cyrus wypił następny kubek ponczu i zaczął klaskać w dłonie w rytm muzyki.

— A czego pragniesz dla siebie? — dociekał Ian.

— Dla siebie zawsze pragnęłam tego samego. Nachylił się do jej ucha.

— Jeśli teraz dasz mi odpowiedź, to będziemy dzisiaj świętować podwójnie.

Potrząsnęła głową, chociaż czuła bolesne ukłucie w sercu.

— Ten wieczór należy do Johnny'ego. Nagle Johnny chwycił ją za rękę i ze śmiechem porwał do tańca.

Na zewnątrz padał śnieg, ale w domu było jasno, gwarno i wesoło. Alanna pomyślała sobie, jak szczęśliwa byłaby jej matka, widząc całą rodzinę wesołą w tę najświętszą z nocy. Pomyślała też o Rory'm, który tańczyłby z największym zapalem, a jego piękny głos umilałby wszystkim zabawę.

— Bądź szczęśliwy — zwróciła się do Johnny'ego i wiedziona impulsem zarzuciła mu ręce na szyję. — Żyj bezpiecznie.

— Zaraz, zaraz, co się dzieje? — Wzruszony i skrepowany uściskał ją szybko i odsunął od siebie.

— Kocham cię, braciszku.

— Wiem. — Kątem oka zauważył, że ojciec uczy Mary nowego skocznego tańca. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. — Słuchaj, Ian — zwrócił się do MacGregora. — Zajmij się Alanną. Potrzebuję chwili wytchnienia.

Ian wziął ją za rękę.

— Nikt nie tańczy lepiej niż Irlandczycy. No, chyba że Szkoci — stwierdził zaczepnie.

— Czyżby? — Z uśmiechem odrzuciła głowę i pociągnęła go do tańca. — .

Chociaż bawili się do późnej nocy, następnego dnia świętowanie zaczęło się od samego rana. W świetle świec choinkowych dali sobie prezenty. Alanna ucieszyła się, widząc w oczach Iana radość na widok szalika, który dla niego utkała. Chociaż poświęciła temu każdą wolną chwilę, warto było się trudzić. Niebieskozielony wzór wyglądał imponująco, a poza tym wyjeżdżając, Ian zabierze ze sobą część jej samej.

Odczuta jeszcze większą satysfakcję, kiedy zobaczyła, że przygotował prezenty dla całej jej rodziny. Ojciec dostał nową fajkę, Johnny uprząż dla ulubionego konia, a Brian tomik wierszy.

Potem wszyscy razem pojechali do kościoła. Jak zwykle z wielką uwagą wysłuchiwała opowieści o narodzeniu Zbawiciela, ale musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, że wszystkie kobiety zerkają na nią ukradkiem ciekawie i z zazdrością. Nie sprzeciwiła się, kiedy Ian po skończonej mszy ujął jej rękę.

— Pięknie dziś wyglądasz — powiedział, całując jej dłoń przed kościołem, gdzie wszyscy zatrzymali się, żeby pogawędzić i życzyć sobie wesołych świąt.

Choć wiedziała, że plotkom nie będzie końca, uśmiechnęła się uwodzicielsko do swojego towarzysza. W ciemnoniebieskiej sukni z koronką przy kołnierzyku i rękawach było jej bardzo do twarzy.

— Ty też prezentujesz się wspaniale, MacGregor.

Miała ochotę dotknąć wykrochmalonego szerokiego krawata pod jego szyją. Pierwszy raz widziała go w odświętnym stroju, z koronkowymi mankietami i błyszczącymi guzikami na dwurzędowym kubraku. Na głowie miał trójgraniasty kapelusz. Takim właśnie będzie go pamiętała, kiedy odjedzie.

— Przed wieczorem spadnie śnieg — powiedział Ian, spoglądając w niebo.

— Święta bez śniegu nie byłyby takie piękne. — Dotknęła niebieskiego czepka, który podarował jej Johnny. Uśmiechnęła się na widok brata i Mary, którym wszyscy serdecznie gratulowali zaręczyn.

— Lepiej wracajmy — zaproponowała. — Muszę zająć się indykiem.

— Pani pozwoli, że ją odprowadzę do powozu.

— Ian podał jej ramię.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony, panie MacGregor.

Chyba nigdy nie przeżył piękniejszego dnia. Chociaż zostało jeszcze trochę pracy, udało mu się spędzić niemal każdą wolną chwilę z Alanną. Trochę tylko żałował, że jej rodzina stale była w pobliżu i nie mógł zapytać o ostateczną odpowiedź. Postanowił sobie, że cierpliwie zaczeka, a poza tym nie miał wątpliwości, że będzie to odpowiedź twierdząca. Przecież Alanna nie uśmiechałaby się do niego tak promiennie, nie całowałaby go tak namiętnie, gdyby nie czuła takiej samej szaleńczej miłości jak on. Marzył o tym, żeby po prostu ją porwać, ale zdecydował, że tym razem wszystko odbędzie się jak należy.

Jeśli takie będzie jej życzenie, pobiorą się w pobliskim kościółku. Potem wynajmą, albo lepiej kupią powóz, niebieski ze srebrnymi zdobieniami. Będzie do niej pasował. Tym powozem pojedą do Wirginii, gdzie przedstawi ją ciotce, wujowi i kuzynom.

Może też uda mu się odwiedzić Szkocję, mimo ciężącego na nim oficjalnego zakazu. Alanna pozna jego rodziców i rodzeństwo. W jego ojczyźnie powtórzą ceremonię zaślubin.

Już wyobrażał sobie ich wspólne życie. Zamieszkają w Bostonie, gdzie kupi dla niej piękny dom. Założą dużą rodzinę, a on słowem i szablą będzie walczył o niepodległość swojej przybranej ojczyzny. Za dnia będą się spierali. Nocą będą leżeć ciało przy ciele w wielkim puchowym łożu. Nie mieściło mu się już w głowie, że mógłby żyć bez niej.

Kiedy skończyli jeść świąteczną kolację, Ian niemal szalał z niecierpliwości. Nie dołączył do stojących przy kominku mężczyzn, tylko podał Alannie pelerynę.

— Czy mogę cię prosić na chwilę?

— Ale ja jeszcze...

— Wszystko inne może poczekać. — Kuchnia i tak już lśniła czystością. — Chcę z tobą pomówić na osobności.

Nie zaprotestowała, kiedy pociągnął ją za sobą. Ze zdenerwowania serce zabiło jej mocniej. Kiedy zwróciła mu uwagę, żeby zapiął kubrak, ponieważ wieje zimny wiatr, on tylko chwycił ją na rękę i zaniósł do stodoły.

— To całkiem niepotrzebne. Mogę iść sama — stwierdziła.

— Zamocysz sobie suknię. — Pocałował ją lekko w usta. — A poza tym sprawia mi to przyjemność.

Postawił ją na ziemi, zamknął drzwi i zapalił latarnię. Alanna splótła ramiona na piersi. A więc teraz skończy się świąteczny, radosny nastrój, pomyślała.

— Ianie...

— Nie. zaczekaj. — Położył jej dłonie na ramionach. Ten czuły gest sprawił, że nie mogła wydobyć słowa. — Nie zdziwiło cię, że nie dostałaś dziś ode mnie żadnego prezentu?

— Ależ dałeś mi prezent. Umówiliśmy się przecież...

— Myślałaś, że nic więcej dla ciebie nie mam? — Ujął jej chłodne dłonie i ogrzał w swoich. — To nasze pierwsze wspólne święta, więc i prezent musi być niezwykły.

— To niepotrzebne.

— Potrzebne, i to bardzo. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe pudełko. — Wysłałem chłopaka ze wsi do Bostonu, żeby mi to przywiózł. Miałem to w mieszkaniu. — Wsunął jej pudełeczko w dłoń. — Otwórz.

Rozum jej mówił, żeby tego nie robiła, ale serce nie chciało posłuchać. Wewnątrz zobaczyła pierścionek i aż jęknęła z zachwytu. Złoty krążek zdobiła lwia głowa i korona.

— To jest symbol mojego klanu — wyjaśnił Ian. — Dziadek, po którym odziedziczyłem imię, kazał go zrobić dla swojej żony. Przed śmiercią przekazała go mojemu ojcu, aby przechował go dla mnie. Kiedy opuszczałem Szkocję, dał mi go w nadziei, że znajdę godną go kobietę — silną, mądrą i wierną.

Słowa z trudem wydobyły się przez ściśnięte gardło Alanny.

— Ian, nie. Ja nie mogę. Nie dawaj mi...

— Żadna inna kobieta go nie dostanie — mówiąc to wyjął pierścionek z pudełeczka i wsunął jej na palec. Pasował jak ulał. Ian czuł się tak, jakby cały świat należał do niego. — Nie pokocham żadnej innej kobiety — oznajmił z mocą. — Dając ci ten pierścionek, daję ci moje serce.

— Kocham cię — wyszeptała. Miała wrażenie, że jej świat pęka na dwie części. — Zawsze będę cię kochała — wyznała wiedząc, że już niedługo nastanie czas smutku, żalu i łez. Ale dzisiaj zamierzała dać mu jeszcze jeden prezent.

Kiedy zaczął ją całować, zsunęła z jego ramion pelerynę i zaczęła rozpinąć guziki kubraka.

— Alanno... — Drżącymi dłońmi powstrzymał jej ręce.

Potrząsnęła tylko głową i przyłożyła palec do ust.

— Nie jestem niedoświadczoną dziewczyną. Jestem dojrzałą kobietą i właśnie tak mnie traktuj. Chcę, żebyś mnie kochał. Właśnie teraz, tej świątecznej nocy. Potrzebuję tego. — Tym razem to ona uniosła jego dłonie do ust i pocałowała. Czowała, że postępuje słusznie.

Jeszcze nigdy jego ręce nie były takie niezdarne. Wydawały się mu za duże, szorstkie i zbyt niecierpliwe, Ian przysiągł sobie w duchu, że delikatnością i cierpliwością wykaże siłę swoich uczuć.

Ostrożnie ułożył ją na sianie. Nie było to puchowe łóżko, jakie dla niej wymarzył, ale ona objęła go bez wahania i zaczęła namiętnie całować.

Nie spodziewał się, że jej dotyk da mu tyle przyjemności. Całował ją długo, aż cały smutek zniknął z jej serca. Rozpiął jej suknię, zsunął z ramion i ucałował mlecznobiałą skórę. Szeptał przy tym słowa tak czule naiwne, że miała ochotę jednocześnie śmiać się i płakać ze wzruszenia.

Czuł, jak jej silne, zręczne dłonie zsuwają z niego kubrak, rozpinają koszulę, a potem gładzą nagą pierś. Rozebrał ją z uwagą, co chwila przystając, żeby dawać i brać rozkosz. Odpowiadała na jego pieszczoty coraz bardziej żywiołowo. Słyszał jej szybki urywany oddech.

Subtelny zapach lawendy mieszał się z zapachem siana. Gładka jasna skóra lśniła w słabym świetle lampy. Jej westchnienia mieszały się z jego szeptem.



Całe ciało Alanny drżało od rozlewającego się w nim żaru. Chciała zawołać imię kochanka, ale tylko wbiła paznokcie w jego szerokie ramiona. Skąd się wziął ten dziwny rytm i pęd, który owładnął nią całą? Dokąd ją to doprowadzi? Oszołomiona wygięła się w łuk, podczas gdy dłonie Iana błędziły po dających rozkosz miejscach na jej ciele. Nie wiedziała nawet, że jest zdolna coś takiego odczuwać.

Jej usta całowały go łapczywie, kiedy doprowadził ją do pierwszego szczytu, a potem jeszcze wyżej. Jej pełen zaskoczenia okrzyk zmieszał się z jego jękiem rozkoszy.

Wniknął w nią głęboko. Otworzyła oczy i zobaczyła jego twarz tuż nad swoją. Ciemnorude włosy połyskiwały w ciepłym świetle.

— Staliśmy się jednością — powiedział cicho i namiętnie. — Teraz jesteś moja.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Usnęli przytuleni do siebie, nasyceni i spokojni. Ich splecione ciała okrywała peleryna Alanny. On wyszeptał przez sen jej imię. Kobieta obudziła się słysząc jego głos.

Północ dawno już minęła. Dla niej oznaczało to koniec czasu beztroski i zapomnienia. Jeszcze przez chwilę przyglądała się twarzy śpiącego Iana. Chciała nauczyć się jej na pamięć, chociaż i tak jej obraz na zawsze odcisnął się w jej sercu.

Dotknęła ustami jego ust, mówiąc sobie, że to ostatni pocałunek. Kiedy się poruszyła, mężczyzna obudził się i przygarnął ją do siebie.

— Nie uciekniesz mi tak łatwo — wymruczał, zatrzymując ją.

— Zaraz będzie świtać. Nie możemy tu dłużej zostać.

— Trudno — westchnął rozczarowany i zaczął się ubierać. — Pewnie mimo okoliczności łagodzących twój ojciec znów wyjąłby nóż, gdyby mnie zobaczył nagiego na sianie ze swoją córką. — Żałował, że nie potrafi wyrazić słowami, ile ta noc dla niego znaczy. Ile znaczy dla niego jej miłość. Wstał i pocałował ją w kark. — Masz siano we włosach, kochanie.

— Zgubiłam spinki — stwierdziła, strząsając źdźbła z głowy.

— Tak wyglądasz jeszcze piękniej.

— Muszę włożyć czepek.

— Skoro musisz... — Posłusznie zaczął go szukać. — Prawdę mówiąc, nie pamiętam miłszych świąt. Kiedy miałem osiem lat i na gwiazdkę dostałem konia, wydawało mi się, że nie spotka mnie nic lepszego. — Znalazł czepek ukryty pod rozrzuconym sianem i podał go jej z uśmiechem. — Ale tobie udało się wygrać z koniem.

Z wysiłkiem przywołała uśmiech na twarz.

— Bardzo mi to pochlebia. Ale teraz muszę przygotować śniadanie.

— Świetnie. Przy stole powiadomimy rodzinę, że zamierzamy się pobrać.

Wzięła głęboki oddech.

— Nie — oświadczyła krótko.

— A na co mielibyśmy czekać?

— Nie — powtórzyła. — Nie wyjdę za ciebie. Przez chwilę patrzył na nią w osłupieniu, ale zaraz parsknął śmiechem.

— Co to za żarty? — zapytał.

— Wcale nie żartuję. Nie wyjdę za ciebie.

— Do diabła z takim gadaniem! — wybuchnął i chwycił ją za ramiona. — W tej sprawie nie będziemy się bawić w żadne gierki.

— To nie są gierki, Ian — starała się mówić spokojnie. — Nie chcę za ciebie wychodzić.

Cios nożem nie sprawiłby mu większego bólu.

— Kłamiesz. Patrzysz mi prosto w oczy i kłamiesz. Kochałaś się ze mną całą noc, a teraz mówisz, że nie chcesz zostać moją żoną?

— Kocham cię, ale nie wyjdę za ciebie. — Potrząsnęła głową, nie dopuszczając go do głosu. — Moje uczucia się nie zmieniły. Zrozum mnie, Ian. Jestem prostą kobietą, mam proste marzenia i nadzieje na przyszłość. Ty chcesz walczyć na wojnie, nawet jeśli by to miało trwać dziesięć lat. Nie chcę stracić kolejnej drogiej mi osoby. Nie przyjmę twojego nazwiska i nie oddam ci serca tylko po to, żeby patrzeć, jak giniesz.

— Będiesz się ze mną targować? — Rozzłoszczony odstąpił od niej o krok. — Nie zechcesz dzielić ze mną życia, dopóki nie zapomnę o wszystkim, w co wierzę? Żeby cię zdobyć, mam wyrzec się kraju, honoru i sumienia?

— Nie — zaprotestowała i splotła ciasno dłonie. — Nie chcę się o nic targować. Daję ci wolność z czystym sumieniem i wcale nie żałuję tego, co tu między nami zaszło. Nie potrafię żyć w twoim świecie. A ty nie potrafiłbyś żyć w moim. Proszę cię tylko, żebyś dał mi taką samą wolność, jaką ja daję tobie.

— Nic z tego — zachnął się i chwycił ją tak mocno, że aż zabolowało. — Naprawdę sądzisz, że różnica w zapatrywaniach na politykę może mnie powstrzymać? Pasujemy do siebie, Alanno. Nic więcej się nie liczy.

— To nic jest kwestia różnicy zapatrywań na politykę. — Specjalnie mówiła beznamietnym, zimnym głosem, ponieważ czuła, że za chwilę się rozplacze. — Mamy różne marzenia i nadzieje. Nie proszę cię, żebyś się wyrzekł swoich. Ja nie wyrzeknę się moich, — Odsunęła się od niego i stanęła sztywno wyprostowana. — Nie chcę cię za męża. Nie chcę przeżyć z tobą życia. Jestem wolną kobietą i sama o sobie decyduję. Nie zmienisz mojego postanowienia. Nie będziesz nawet próbował, jeśli naprawdę mnie kochasz. — Chwyciła pelerynę i zmięła ją w rękach. — Twoje rany już się zagoiły. Czas, żebyś odjechał. Nie zobaczymy się więcej — mówiąc to odwróciła się i wybiegła.

Godzinę później ze swojej izby słyszała, jak odjeżdża. Dopiero wtedy położyła się na łóżku i Wybuchnęła płaczem. Kiedy łzy spłynęły na jej dłonie, uświadomiła sobie, że na palcu wciąż ma pierścienek od Iana. Nie oddała mu go, ani on nie poprosił o jego zwrot.

Trzy tygodnie zajęła mu podróż do Wirginii. Minał jeszcze tydzień, zanim zaczął rozmawiać z ludźmi. W bibliotece wuja rozpoczął dyskusję o wydarzeniach w Bostonie i innych częściach Kolonii oraz o reakcji parlamentu.

Chociaż Brigham Langston, czwarty hrabia Ashburn, mieszkał w Ameryce od prawie trzydziestu lat, wciąż miał rozległe koneksje w Anglii. Kiedyś walczył o swoje przekonania w powstaniu jakobitów, więc teraz zamierzał walczyć o wolność i sprawiedliwość w nowej ojczyźnie przeciwko krajowi, w którym się urodził.

Rozmowę przerwał im energiczny kobiecy głos.

— Na dzisiaj wystarczy tego knucia i spiskowania. — Z tymi słowy Serena MacGregor Langston weszła bezceremonialnie do biblioteki, chociaż było to tradycyjne męskie sanktuarium. Jej włosy nadal lśniły ognistą rudością. Kilka siwych pasm nie martwiło Sereny w najmniejszym stopniu. Uważała, że ciężko sobie na nie zapracowała.

Ian podniósł się z fotela i skłonił ciotce, natomiast jej mąż nadal stał, opierając się o kominek. Był równie przystojny jak w młodości, a może nawet bardziej. Tylko włosy mu posiwiały, a twarz

ogorzała od południowego słońca. Ciało miał równie szczuple i muskularne jak trzydzieści lat wcześniej. Serena uśmiechnęła się do swojego najstarszego syna Daniela, który podał jej szklaneczkę brandy.

— Wiesz, że zawsze cieszy nas twoje towarzystwo, mamó.

— Umiesz prawić komplementy jak twój ojciec

— mówiąc to z zadowoleniem spostrzegła, że syn odziedziczył prezencję po ojcu. — Dobrze wiem, że najchętniej wysłalibyście mnie do diabła. Czy muszę w a m przypominać, że walczyłam j u ż w jednym powstaniu? Nieprawdaż, Sassenach? — zwróciła się do męża.

Brigham uśmiechnął się do niej szeroko. Od chwili poznania nazywała go tym niezbyt pochlebnym słowem, którym Szkoci określają Anglików.

— Czy kiedykolwiek próbowałem cię zmienić?

— zapytał.

— Wiesz, że nie miałbyś najmniejszych szans powodzenia — odpaliła z uśmiechem i pocałowała go prosto w usta. — Ian, chudniesz w oczach. Czyżby nie odpowiadała ci nasza kuchnia? — Serena doszła do wniosku, że Ian miał już dość czasu na rozmyślenia o tym, co go gnębi. Ponieważ jego matka została za oceanem, ona czuła się w obowiązku przejąć tę rolę.

— Twoja kuchnia jest jak zwykle wyśmienita, ciociu.

— Dziękuję. — Pociągnęła tyk brandy. — Twoja kuzynka Fiona powiedziała mi, że jeszcze jej nie zaprosiłeś na konną przejażdżkę. Mam nadzieję, że moja córka niczym cię nie zirytowała.

— Ależ skąd. Po prostu ostatnio byłem nieco rozkojarzony. Jutro albo pojutrze na pewno gdzieś się razem wybierzemy.

— To dobrze. — Serena postanowiła zaczekać z dalszymi pytaniami, aż zostaną sami. Zwróciła się do męża. — Brig, Amanda chce, żebyś jej pomógł wybrać kuca dla małego Colina. Wydawało mi się, że dobrze wychowałam najstarszą córkę, ale ona najwyraźniej uważa, że ty lepiej znasz się na koniach niż ja. Aha, Danielu, twój brat jest w stajni. Prosił, żebyś tam do niego przyszedł.

— Temu chłopakowi w głowie tylko konie — stwierdził Brigham. — Wdał się w Malcolma.

— Przypominam ci, że mój młodszy brat bardzo dobrze wyszedł na zainteresowaniu końmi.

Brigham uniósł szklaneczkę w stronę żony.

— Nie musisz mi tego powtarzać.

— Pójdę już — zdecydował Daniel. — Jak znam Kita, pewnie znowu ma jakiś nowy pomysł na rozszerzenie hodowli.

— Aha, coś sobie przypomniałam — odezwała

się znów Serena. — Parkins jest bardzo czymś rozżłoszczony. Chyba stanem twojej kurtki do konnej jazdy. Zostawiłam go w twojej garderobie w stanie wielkiego wzburzenia.

— Parkins ciągle się złości — wymamrotał Brigham. Dobrze znał swojego kamerdynera. Pochwyił spojrzenie żony i zrozumiał, o co jej chodzi.

— Dobrze, pójdę do niego i postaram się go uspokoić.

Serena usiadła wygodniej i rozłożyła szeroko krynolinę. Była zadowolona, że udało jej się zostać sam na sam z Ianem.

— Nie mieliśmy jeszcze sposobności, żeby spokojnie porozmawiać — zwróciła się do bratanka.

— Napij się jeszcze brandy i dotrzyмай mi towarzystwa. — Uśmiechnęła się rozbrajająco. W ten sposób też umiała osiągać to, co sobie zamierzyła.

— Opowiedz mi o swoich przygodach w Bostonie.

Zawsze lubiła chodzić boso, więc teraz też nie miała na sobie butów. Podwinęła nogi i wyglądała nie tylko pięknie, ale też nieprawdopodobnie młodo. Mimo przygnębienia Ian uśmiechnął się do niej serdecznie.

— Ciociu Sereno, wspaniale wyglądasz.

— Próbujesz odciągnąć mnie od tematu. Wiem wszystko o waszej bostońskiej herbatce. — W y — ciągnęła ku niemu szklaneczkę z brandy. — Wznoszę za ciebie toast, jak MacGregor za MacGregora. Wiem, że Anglicy już są niezadowoleni. A niech się udławiają tą swoją przekłętą herbatą. — Uniosła do góry rękę. — Ale nie pozwól mi się rozwodzić nad tym tematem. To prawda, że chcę się dowiedzieć, jakie nastroje panują w Nowej Anglii i w innych częściach Ameryki, ale teraz porozmawiamy o tobie.

— O mnie? — udał, że nie rozumie i lekko wzruszył ramionami. — Przecież wiesz wszystko o mojej działalności, o oddaniu dla sprawy Sama Adamsa i Synów Wolności. Nasze plany postępują wolno, ale postępują.

Prawie udało mu się odwieść ją od tematu, który chciała poruszyć. Doszła jednak do wniosku, że informacje na tematy polityczne może uzyskać od męża i ze swoich własnych źródeł.

— Chodzi mi o twoje życie osobiste, Ian — z poważną miną dotknęła jego dłoni. — Jesteś pierwotnym dzieckiem mojego brata i moim chrzestnym synem. Pomagałam ci przyjść na świat. Widzę, że dręczy cię coś, co nie ma nic wspólnego z polityką.

— Właśnie że ma, i to bardzo wiele — burknął niegrzecznie i wypił łyk brandy.

— Opowiedz mi o niej. Zaskoczony spojrzał na ciotkę.

— Nie wspominałem o żadnej kobiecie.

— Twoje milczenie powiedziało wystarczająco dużo. Nic przede mną nie ukryjesz. Płynię w nas ta sama krew. Jak ona się nazywa?

— Alanna — powiedział, zanim zdążył pomyśleć. — Do diabła z nią.

Serena roześmiała się serdecznie.

— No, widzę, że to poważna sprawa. Opowiadaj.

Opowiedział jej wszystko, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Po pół godzinie Serena знаła całą historię, od pierwszego pocałunku po burzliwe rozstanie. . —

— Ona musi cię bardzo kochać — wyszeptła po chwili milczenia.

W trakcie swojej opowieści Ian wstał i zaczął krążyć po bibliotece. Chociaż miał na sobie strój dżentelmena, poruszał się jak wojownik. Bolesnie przypominał Serenie jej brata Colla.

— Jak może mnie kochać, skoro mnie odepchnęła i złamała mi serce?

— Kocha cię bardzo mocno i dlatego się boi. — Kobieta wstała i wyciągnęła do niego rękę. — Rozumiem to doskonale. — Czuła jego ból, więc dodającym otuchy gestem przytuliła jego dłonie do policzka.

— Nie mogę się zmienić.

— Nie możesz — zgodziła się i z westchnieniem usadziła go obok siebie. — Tak samo jak ja nie mogłabym się zmienić. Oboje jesteśmy dziećmi Szkocji i mamy buntowniczą naturę. Zostaliśmy stworzeni do walki. Ale walczymy tylko o to, co się nam należy — o naszą ziemię, dom, rodzinę.

— Ona tego nie rozumie.

— Wydaje mi się, że rozumie aż nazbyt dobrze. Tylko nie potrafi się z tym pogodzić. Ale dlaczego ty, MacGregor, zostawiłeś ją tylko dlatego, że tak ci kazała? Nie chciałeś o nią walczyć?

— To uparta złościca, która nie chce słuchać rozsądnych argumentów.

— Aha — skinęła głową, tłumiąc uśmiech. Ona sama nie raz słyszała takie określenie pod swoim adresem, zwłaszcza z ust jednego mężczyzny. To duma pchnęła jej bratanka do wyjazdu i zaprowadziła aż do Wirginii, gdzie chciał wylizać się z ran. Dobrze znała i to uczucie. — A czy ty ją kochasz?

— Zapomniałbym o niej, gdybym potrafił — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Może wrócę tam i ją zamorduję.

— Wydaje mi się, że do tego nie dojdzie. — Wstała i poklepała go po ramieniu. — Zostań tu z nami na dłużej. I zaufaj mi wszystko w końcu dobrze się ułoży. Teraz muszę iść na górę i uratować twojego wuja przed Parkinsem.

Zostawiła go patrzącego w zadumie w ogień. Nie poszła jednak do garderoby męża, tylko do swojego saloniku, gdzie przystąpiła do pisania listu.

— Nie mogę tam jechać. — Zarumieniona Alanna stała przed ojcem ściskając list w rękę.

— Możesz i pojedziesz — upierał się Cyrus. — Lady Langston zaprosiła cię do swojego domu, żeby osobiście ci podziękować za ocalenie życia jej bratankowi. — Sam nie wiedział, czy nie popełnia błędu. — Matka na pewno by chciała, żebyś przyjęła to zaproszenie.

— Podróż będzie taka długa — szybko odparła Alanna. — Za miesiąc lub dwa zaczną się prace w polu. Trzeba też zrobić mydło, zgręplować wełnę. M a m za dużo pracy, żeby wyruszyć w tak długą podróż. Poza tym... nie mam w co się ubrać.

— Pojedziesz i przyjmiesz podziękowanie w imieniu nas wszystkich. — Wstał i wyprostował się. — Nikt nie powie, że ktoś z rodziny Murphych zląkł się wizyty w arystokratycznym domu.

— Wcale się nie zląkałam.

— Trzęsiesz się jak osika, moje dziecko. Wstydę się za ciebie. Lady Langston chce cię poznać. Moi kuzyni walczyli ramię w ramię z jej klanem w czterdziestym piątym. Murphy to takie samo dobre nazwisko jak MacGregor, a może nawet lepsze. Nie mogłem dać ci wykształcenia, jakiego pragnęła dla ciebie matka, ale...

— Och, tato! Zdecydowanie potrząsnął głową.

— Twoja matka nie zechce ze m n ą rozmawiać, kiedy już dołączę do niej na tamtym świecie, jeśli nie skłonię cię do wyjazdu. Chcę, żebyś zobaczyła przed moją śmiercią coś więcej, niż ta farma. Zrobisz to dla mnie i dla swojej matki, jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie samej.

Tak jak przewidywał, zaczęła mięknać.

— Ale... Jeśli będzie tam Ian...

— Jego ciotka w liście nic o tym nie pisze, prawda?

— Tak, ale...

— W takim razie najprawdopodobniej go tam nie ma. Pewnie wznieca rebelię gdzieś na drugim końcu kraju.

— Pewnie tak — przyznała niechętnie i spojrzała ponuro na list. Zastanowiła się, jak taka daleka podróż może wyglądać i jak jest w tej zielonej Wirginii. — Ale kto będzie gotował? Kto będzie prał i doił krowy? Ja nic mogę was...

— Nie jesteśmy tacy bezradni — zaprotestował ojciec bez większego przekonania. — Mary nam pomoże. Jest już żoną Johnny'ego. Wdowa Jenkins też jest zawsze chętna do pomocy.

— Ale czy stać nas...

— Nie jesteśmy bez grosza — warknął. — Napisz list do lady Langston, że z wdzięcznością przyjmujesz jej zaproszenie. Chyba że boisz się spotkania z nią.

— Oczywiście, że nie. — To przypuszczenie wprawiło ją w bojowy nastrój. — Właśnie że pojedę — mamrotała pod nosem, idąc do swojej izby po pióro i papier.

— Pojedziesz, ale czy wrócisz? — wyszeptał do siebie Cyrus, kiedy drzwi za córką się zamknęły.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Serce Alanny biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nigdy dotąd nie jechała takim eleganckim powozem. A woźnica miał na sobie liberie. I pomyśleć tylko, że Langstonowie wystali po nią powóz wraz z woźnicą, pocztylionami i służącą.

Z Bostonu do Richmond popłynęła statkiem, również w towarzystwie służącej, którą zapewnili jej Langstonowie. Pozostałą drogę na plantację miała przebyć w powozie. Plantacja nosiła nazwę "Glenroe", tak samo jak las w Szkocji.

Morska podróż dostarczyła jej wielu emocji. Miała własną kabinę i służącą, która dbała o jej potrzeby. To znaczy do czasu, kiedy zapadła na chorobę morską. Potem to Alanna musiała dbać o jej potrzeby. Wcale jej to nie przeszkadzało. Kiedy dziewczyna spała w kabinie, ona mogła spacerować po pokładach, patrzeć na morze i ukazujący się od czasu do czasu ląd.

Zachwyciło ją piękno i różnorodność kraju, w którym mieszkała. Kiedy wyjeżdżała z domu, na ziemi jeszcze leżał śnieg. Tutaj, na południu, drzewa zaczynały się zielenić, a przecież był to dopiero marzec.

Minęły trzy miesiące od czasu, gdy odprawiła Iana z farmy. Nerwowo dotknęła pierścionka zawieszzonego na szyi na tasiemce, pod suknią. Oczywiście odda go jego ciotce, bo przecież Iana na plantacji nie będzie. Myślała o tym z mieszaniną ulgi i rozczarowania. Zwróci pierścionek ciotce, wymyśliwszy przedtem jakieś wytłumaczenie. Nie może przecież powiedzieć całej prawdy. Byłoby to zbyt bolesne i upokarzające.

Postanowiła teraz się tym nie martwić i przez okno podziwiała zielone pola Wirginii. Potraktuje tę podróż jako przygodę, jedyną w swoim rodzaju. Musi wszystko dobrze zapamiętać, żeby opowiedzieć o tym ciekawemu światu Brianowi. Na plantacji na pewno będzie znów czuła bliskość Iana. Obiecała sobie, że pozwoli sobie na to ostatni raz. Potem wróci na farmę, do obowiązków i rodziny. I będzie z tego zadowolona.

Powóz wjechał między dwie wielkie kamienne kolumny, nad którymi wisiał wykuty z metalu napis Glenroe. Służąca, bardziej zmęczona podróżą niż Alanna, powiadomiła ją, że niedługo już zobaczą rezydencję Langstonów. Podekscytowana opowiadała, że to najpiękniejszy dom w całej Wirginii.

Alanna poczuła mocniejsze bicie serca. W zdenerwowaniu skubała czarne wypustki swojej jasnoszarej sukni, nad której uszyciem trzymała się przez trzy noce.

Długi podjazd obsadzony był zieleniącymi się dębami. Wokół ciągnęły się starannie przystrzyżone trawniki. Nagle jej oczom ukazał się dom stojący na niewielkim wzgórzu.

Alannie z wrażenia odebrało mowę. Była to majestatyczna śnieżnobiała budowla, której front zdobił tuzin smukłych kolumn. Balkony na pierwszym i drugim piętrze wyglądały jak zrobione z czarnej koronki. Z przodu i z boków dom otaczała szeroka weranda. Do przeszklonych drzwi prowadziły kamienne schody, po bokach których stały urny z ciemnoczerwonymi kwiatami.

Miała ochotę krzyknąć na woźnicę, żeby zawracał i tylko duma oraz siła woli powstrzymały ją przed ucieczką.

Co ona robi w tym miejscu? O czym będzie rozmawiała z ludźmi żyjącymi w takim przepychu? Przepaść między nią a Ianem zdawała się pogłębiać z każdym obrotem kół powozu.

Zanim powóz się zatrzymał, na schodach pojawiła się jakaś kobieta w powiewnej jasnozielonej sukni, ozdobionej kremową koronką. Złotorude włosy miała uczesane w prosty węzeł na karku. Kiedy Alanna wysiadła z powozu, kobieta ruszyła ku niej z wyciągniętymi ramionami.

— Pani Flynn. Jest pani tak piękna, jak się spodziewałam. — Akcent kobiety boleśnie przypominał jej akcent Iana. — Będę się do Ciebie zwracać po imieniu. Czuję, że już jesteśmy przyjaciółkami. — Zanim Alanna zdołała wymyślić jakąś odpowiedź, ta uściskała ją serdecznie. — Nazywam się Serena. Jestem ciotką Iana. Witaj w Glenroe.

— Lady Langston — zaczęła Alanna nieśmiało, ale Serena roześmiała się i pociągnęła ją do drzwi.

— Nie używamy tutaj tytułów. Mam nadzieję, że podróż miałaś spokojną.

— Och, tak. Dziękuję, że zaprosiła mnie pani i otworzyła przede mną drzwi swojego domu.

— To ja jestem ci wdzięczna. — Serena zatrzymała się na progu. — Kocham Iana jak własne dziecko. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Pewnie chcesz się odświeżyć, bo niedługo pora na herbatę. Oczywiście my tutaj nie podajemy tego przeklętego napoju — ciągnęła gospodyni. podczas gdy Alanna patrzyła z zachwytem na wielki hol i podwójne, biegnące łukowato schody.

Serena poprowadziła ją na górę. Nagle gdzieś z głębi domu rozległ się krzyk, pisk i jakieś przekleństwo.

— To moje najmłodsze dzieci — wyjaśniła beztrąsko Serena.

— Ile ma pani dzieci? — zapytała nieśmiało Alanna.

— Sześcioro. To Payne i Ross robią takie zamieszanie. Bliźniaki. B i j ą się, ale tak naprawdę jeden za drugiego w ogień by wskoczył.

Alanna wyraźnie słyszała brzęk tłuczonej porcelany, ale Serena nawet nie mrugnęła okiem.

— Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie — powiedziała, otwierając drzwi do jej apartamentu. — Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wystarczy poprosić.

Czegóż jeszcze mogła potrzebować? Sypialnia była co najmniej trzy razy większa niż jej własna. W wazonach stały świeże wonne kwiaty. Świeże kwiaty w marcu! Na zarzuconym poduszkami łożu zmieściłyby się trzy osoby. Była tam też rzeźbiona szafa, eleganckie biurko, lustro w srebrnej ramie, mała toaletka i kryty brokatem fotel. Przez otwarte okna wpadał lekki wietrzyk, poruszając muślinowymi firankami. Natychmiast pojawiła się pokojówka z dzbankiem wody.

— To jest twój salonik. — Serena stanęła przy pięknie rzeźbionym kominku. — Poznaj Hattie. Zadbaj o twoje potrzeby podczas całej wizyty. Hattie, zajmiesz się panią Flynn, prawda?

Szczupła czarna dziewczyna uśmiechnęła się do Alanny.

— Tak, proszę pani — odparła wesoło. Serena dotknęła ręki Alanny i stwierdziła, że jest chłodna i drżąca. Zrozumiała, że jej gość przeżywa ciężkie chwile.

— Czy jeszcze coś mogę dla Ciebie zrobić? — zapytała.

— Och, nie. Zrobiła już pani tak wiele. Jeszcze nawet nie zaczęłam, pomyślała Serena, ale tylko się uśmiechnęła.

— Odpocznij sobie. Hattie sprowadzi cię na dół, kiedy będziesz gotowa.

Gdy za lady Langston zamknęły się drzwi, Alanna usiadła ostrożnie na skraju łóżka. Zastanawiała się, jak to wszystko zniesie.



Była zbyt zdenerwowana, żeby siedzieć w pokoju, więc z pomocą Hattie przebrała się w swoją najlepszą suknię. Okazało się, że dziewczyna doskonale radzi sobie z układaniem fryzur i po niedługim czasie włosy Alanny spływały kaskadą wdzięcznych loków na lewe ramię.

Właśnie zapinała odziedziczone po matce kolczyki z granatów i zbierała się na odwagę, żeby zejść na dół, kiedy pod drzwiami rozległ się jakiś huk i krzyki. Zaciekawiona wyjrzała na korytarz i zobaczyła dwóch chłopców przetaczających się po dywanie.

— Witam panów — odezwała się Alanna. Podobni jak dwie krople wody czarnowłosi chłopcy przestali okładać się pięciami i spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Jak na komendę wstali i ukłonili się.

— A kim ty jesteś? — zapytał ten z rozciętą wargą.

— Nazywam się Alanna Flynn — uśmiechnęła się rozbawiona. — A wy jesteście pewnie Payne i Ross.

— Owszem — przytaknął ten z podbitym okiem. — Ja jestem Payne i jako starszy witam cię w Glenroe.

— Ja też chcę ją powitać. — Ross wymierzył bratu kuksańca łokciem pod żebro.

— Witam was obu. — Alanna za wszelką cenę starała się zachować powagę. — Miałam właśnie zejść na dół i dołączyć do waszej matki. Zejdziecie ze mną?

— Mama jest w salonie. To pora herbaty — wyjaśnił Ross i podał jej ramię.

— My oczywiście nie pijamy tego święstwa. — Payne również podał jej ramię, więc Alanna wsparła się na obu. — Niech się Anglicy nią udławia.

— Oczywiście — z trudem powstrzymała śmiech. Na widok wchodzącej trójki Serena wstała z miejsca.

— Widzę, że poznałaś już moje dwa małe potwory. — Podeszła do nich i uważnie obejrzała podbite oko i zakrwawioną wargę. — Jeśli macie ochotę na ciasto, to musicie najpierw się umyć.

Kiedy chłopcy wybiegli, przedstawiła Alannie zgromadzonych w salonie. Alanna poznała Kita, osiemnastoletniego syna gospodyni i jej miło uśmiechniętą złotowłosą córkę, która była mniej więcej w wieku Briana.

— Kit i Fiona przy pierwszej okazji zaciągną cię do stajni — ostrzegła Serena. — Na kolację przyjdzie moja córka Amanda, wraz z rodziną. Mieszkają na sąsiedniej plantacji. — Nalała kawy do filiżanki i podała ją Alannie. — Nie będziemy czekać na Brighamą i resztę. Nadzorują prace w polu i Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócą.

— Mama powiedziała, że mieszkasz na farmie w Massachusetts — zagaiła Fiona.

— Tak. — Alanna nieco się rozluźniła. — Kiedy wyjeżdżałam, na ziemi jeszcze leżał śnieg. U nas lato jest o wiele krótsze.

Rozmowa potoczyła się gładko. Po chwili wrócili bliźniacy, najwyraźniej całkiem już pogodzeni. Z identycznymi psotnymi uśmiechami ucałowali matkę w oba policzki, każdy po jednej stronie.

— Za późno — powiedziała beztrząsco Serena. — Już i tak wiem o stłuczonym wazonie. — Napelniła dwie filiżanki czekoladą. — Całe szczęście, że był brzydki. Siadajcie i postarajcie się nie popłamić dywanu.

Alanna piła właśnie drugą filiżankę kawy, gdy w holu rozległ się męski śmiech.

— Tata! — krzyknęli chórem bliźniacy i pobiegli do drzwi. Serena spojrzała na czekoladową plamę na dywanie i ciężko westchnęła.

Do salonu wkroczył Brigham i pieszczotliwym gestem zmierzwił włosy obu synów.

— Jaką szkodę dzisiaj wyrządziliście? — zapytał żartobliwie. Alanna zauważyła, że jego spojrzenie najpierw pobiegło ku żonie. W jego oczach widać było rozbawienie i coś głębszego, co wzbudziło lekką zazdrość Alanny. Dopiero po chwili spojrzał na gościa. Odsunął chłopców i podszedł bliżej.

— Alanno, to mój mąż. Brigham — przedstawiła go Serena.

— Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać. Tak wiele ci zawdzięczamy. — Ciepło uścisnął jej dłoń.

Alanna lekko się zarumieniła. Brigham mógłby być jej ojcem, ale miał w sobie magnetyzm, na który reagowały wszystkie kobiety.

— Dziękuję panu za gościnę, lordzie Langston. Zerknął na żonę z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

— Mam nadzieję, że cały twój pobyt tutaj będzie udany i radosny.

— Jestem pewna, że tak będzie. To taki wspaniały dom i cudowna rodzina.

Chciał coś powiedzieć, ale żona wpadła mu w słowo.

— Napijesz się kawy, Brig? — Nie czekając na odpowiedź podsunęła mu filiżankę i spojrzała na niego ostrzegawczo. Przedtem długo dyskutowali o tym, czy Serena zrobiła słusznie wysyłając list. — Na pewno chce ci się pić. A gdzie reszta?

— Szli zaraz za mną. Pewnie zajrzeli na chwilę do biblioteki.

W tej samej chwili do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był młodszą wersją Brighama. Jednak wzrok Alanny przykuł ten drugi. Ian. Bezwiednie zerwała się na równe nogi. Nie zauważyła nawet, że wokół zapadło milczenie.

On również stanął jak wmurowany. Na jego twarzy odmalowały się najróżniejsze uczucia. Po chwili uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było ciepła.

— Co ja widzę. Pani Flynn. Jaka niezwykła niespodzianka.

— Ja... ja... — zająknęła się Alanna. Marzyła o tym, żeby się zapaść pod ziemię, ale Serena już wstała i wzięła ją za rękę.

— Alanna była tak miła, że przyjęła moje zaproszenie. Chcieliśmy osobiście podziękować jej za opiekę i uratowanie ci życia.

— Rozumiem. — Z trudem oderwał wzrok od Alanny i z wściekłością spojrzał na ciotkę. — Bardzo jesteś sprytna, ciociu.

— Owszem, jestem — przytaknęła z zadowoleniem. Ian zacisnął dłonie w pięści.

— Cóż, pani Flynn, skoro pani już tu jest, witam w Glenroe.

Alanna czuła, że za chwilę się rozplacze i całkiem się skompromituje.

— Proszę wybaczyć — wyjąkała i wybiegła z salonu.

— Jakie wspaniałe powitanie, Ian — zganiła go Serena i podążyła za gościem.

Alanna stała przy szafie i gwałtownymi ruchami wyjmowała z niej ubrania.

— Cóż to ma znaczyć? — zdziwiła się Serena.

— Muszę wyjechać. Nie wiedziałam... Jestem wdzięczna za gościnę, ale muszę natychmiast wracać do domu.

— Co za nedorzecznosc. — Kobieta wzięła ją za ramiona i podprowadziła do łóżka. — Siadaj i uspokój się. Wiem, że widok Iana cię zaskoczył, ale... — urwała, ponieważ Alanna ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. — Już cicho, kochanie. — Objęła ją macierzyńskim gestem i

kołysała w ramionach. — Obszedł się z tobą bardzo szorstko, prawda? Mężczyźni tacy są. Dlatego my musimy być jeszcze twardsze.

— Ale to wszystko moja wina. To przeze mnie.

— Nie mogła opanować łez. Oparła głowę na ramieniu Sereny.

— Twoja wina czy nie, kobieta nigdy nie powinna się do tego przyznawać. Mężczyźni są silniejsi, więc my powinnyśmy być mądrzejsze.

— Z uśmiechem głaskała Alannę po głowie. — Teraz już wiem, że kochasz go tak samo jak on ciebie.

— On mnie teraz nienawidzi. I wcale się nie dziwię. Ale to może i lepiej.

— Ian cię przeraża?

— Tak.

— Przerazają cię twoje uczucia do niego?

— Tak— Nie chcę go kochać, nie mogę. On się nie zmieni. Będzie szczęśliwy, dopiero jak go zastrzelą albo powieszą za zdradę stanu.

— MacGregorowie tak łatwo nie giną. Masz chusteczkę? Ja nigdy nie mogę jej znaleźć, kiedy jest potrzebna.

Alanna pociągnęła nosem i wyjęła swoją.

— Przepraszam, że wywołałam taką scenę w salonie.

— Bardzo lubię sceny i wywołuję je przy każdej okazji — zakpiła Serena, czekając aż Alanna nieco się uspokoi. — Opowiem ci historię o dziewczynie, która bardzo niemądrze zakochała się w zupełnie nieodpowiednim mężczyźnie. Było to w czasach wojny i buntów. Dokoła ginęli ludzie, dlatego ona odpychała go od siebie i wypierała się swojego uczucia. Myślała, że tak trzeba.

— I co się z nimi stało? — zapytała Alanna.

— Och, on był tak samo uparty jak ona, więc się pobrali, m a j ą teraz sześcioro dzieci i dwoje wnuków — roześmiała się pogodnie. — Nigdy tego nie żałowałam.

— Ale ze mną to co innego.

— Miłość jest zawsze taka sama, a jednocześnie zupełnie inna. — Odgarnęła kosmyk włosów z policzka Alanny. — Ja też się bałam.

— Pani?

— O, tak. Im mocniej kochałam Brighamę, tym bardziej się bałam i udawałam, że nic do niego nie czuję. Opowiesz mi o swoich uczuciach? Czasami rozmowa z inną kobietą bardzo pomaga.

— Może i mnie pomoże. W każdym razie bardziej nie mogę już sobie zaszkodzić. Mój brat zginął na wojnie z Francuzami. Byłam jeszcze dzieckiem, ale dobrze go pamiętam. Był podobny do Iana — nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o walce w imię ideałów. Nie minął rok, jak zmarła mama. Śmierć Rory'ego złamała jej serce. Ojciec do dzisiaj ich oplakuje.

— Nie ma większej straty niż śmierć kochanej osoby. Mój ojciec zginął w bitwie dwadzieścia osiem lat temu, a ja w c i ą ż widzę jego twarz. Wkrótce potem wyjechałam ze Szkocji i zostawiłam tam matkę. Zmarła zanim urodziła się Amanda, ale nadal żyje w moim sercu. — Spojrzała na Alannę wilgotnymi oczami. — Kiedy zdławiono powstanie, mój brat Coll przywiózł do mnie Brighamę. Był ranny i bliski śmierci. Nosiłam wtedy w łonie nasze pierwsze dziecko. Ukrywaliśmy się przed Anglikami w jaskini.

A więc Ian mówił Brianowi prawdę.

— Jak pani to zniosła?

— A czy miałam wybór? — uśmiechnęła się. — Brig często powtarza, że uratowałam go, żeby mieć kogo dręczyć przez resztę życia. Może to prawda. Wiem, co to strach, Alanno. Kiedy nadejdzie wojna, moi synowie staną do walki. Na myśl, że mogę ich stracić, wszystko we mnie zamiera. Ale gdybym była mężczyzną, dołączyłabym do nich.

— Ja nie jestem taka dzielna.

— Jesteś. Gdyby coś groziło twojej rodzinie, schowałabyś się w kącie, czy stanęłabyś do walki?

— Oddałabym życie za ojca i braci. Ale...

— Widzisz. — Serena znów się uśmiechnęła, ale tym razem poważnie. — Wkrótce wszyscy mieszkańcy Kolonii uświadomią sobie, że jesteśmy jednością. Jednym klanem, Ian już to wie. Czyż nie dlatego właśnie go kochasz?

— Tak jest.

— Czy będziesz szczęśliwsza, jeśli wyprzesz się tej miłości? Czy nie lepiej się z nią pogodzić i wykorzystać czas, jaki Bóg wam przeznaczył na wspólne życie?

Alanna zamknęła oczy i pomyślała o ostatnich ciężkich trzech miesiącach.

— To prawda. Bez niego nigdy nie będę szczęśliwa. Ale przez całe życie marzyłam o silnym, spokojnym mężczyźnie, któremu wystarczyłoby zwykłe życie, rodzina i dzieci. Przy Ianie nie zaznam ani chwili spokoju.

— Nie zaznasz — zgodziła się Serena. — Ale zadaj sobie jedno pytanie. Czy zmieniłabyś go, gdybyś miała taką moc?

Już miała przytaknąć, ale serce podsunęło jej inną, prawdziwszą odpowiedź.

— Nie. Boże, jaka ja byłam niemądra. Przecież Kocham go właśnie za to, jaki jest.

Serena z satysfakcją skinęła głową.

— Życie niesie niebezpieczeństwa. Niektórzy stawiają im czoła i śmiało idą dalej. Inni chowają się przed nimi i nie robią kroku naprzód. Do których ty należysz?

Alanna przez długą chwilę siedziała w milczeniu.

— Wie pani, wydaje mi się...

— Mów do mnie po imieniu.

— Wydaje mi się. Sereno, że gdybym mogła z tobą wcześniej porozmawiać, nie kazałabym Ianowi wyjechać.

— Właśnie. Zastanów się nad tym — odrzekła kobieta pogodnie. — Teraz odpocznij i daj mu trochę czasu, żeby ochłonął.

— Nie zechce ze mną rozmawiać — wyszeptwała Alanna, ale zaraz wojowniczo uniosła głowę. — Ale ja go do tego zmuszę!

— Z całą pewnością ci się to uda — ze śmiechem powiedziała jej nowa przyjaciółka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ian nie przyszedł ani na kolację, ani na śniadanie. Inną kobietę może by to zniechęciło, natomiast Alannę zmobilizowało do przewyciężenia własnych lęków i obaw.

Otuchy dodawał jej też widok Langstonów. Nie sposób patrzeć na taką rodzinę i nie zastanawiać się, ile może zdziałać miłość, determinacja i zaufanie. Chociaż musieli przewyciężyć wiele trudności, Serena i Brigham wspaniale ułożyli sobie wspólne życie. Oboje stracili domy, ojczyznę i ukochanych bliskich, ale zbudowali wszystko od nowa.

Czy mogła sobie i Ianowi odmówić takiej szansy? On na pewno pójdzie na wojnę. Zaczęła jednak wierzyć, że jest zbyt uparty, żeby zginąć. A nawet jeśli miała go stracić, to czy nie warto przeżyć w jego ramionach chociaż roku, miesiąca lub dnia?

Powie mu to, jeśli tylko gdzieś tego głupca dopadnie. Przeprosi go. Może nawet będzie błagać o wybaczenie i drugą szansę, chociaż na samą myśl o tym cała się jeżyła.

W miarę upływu godzin jej skrucha znacznie traciła na sile, natomiast irytacja wzrastała. Owszem, przeprosi go, ale najpierw gruntownie zmyje mu głowę.

Bliźniaki niechcący podpowiedziały jej, gdzie go znaleźć.

— To ty wszystko zepsułeś — oskarżył brata Payne, kiedy obaj chłopcy szturchając się i popychając zjawili się w ogrodzie.

— A właśnie, że to ty go zniechęciłeś. Gdybyś trzymał język za zębami, wziąłby nas ze sobą. Ale ty zawsze...

— Chłopcy, chłopcy! — Serena przerwała ścinanie kwiatów. — Jeśli już musicie się bić, to róbcie to gdzie indziej. Nie chcę, żebyście zrujnowali mi klomby.

— To jego wina! — zawołali chórem.

— Ja tylko chciałem iść na ryby — poskarżył się Ross. — Ian wziąłby nas ze sobą, gdyby on nie zaczął paplać.

— A więc Ian jest na rybach? — Alanna bezwiednie zgmiotła w rękach pęk kwiatu.

— Zawsze idzie nad rzekę, kiedy jest w złym humorze — powiedział Payne i kopnął kamyk na ścieżce. — Namówiłbym go, żeby nas zabrał, gdyby Ross się nie wtrącił.

— I tak nie chciałem iść na ryby — odpalił drugi z braci i zadarł nos do góry. — Chcę grać w wolanta.

— To ja chcę grać w wolanta! — krzyknął Payne i ruszył biegiem przed siebie, a Ross za nim.

— Mam w stajni piękną klacz — odezwała się nagle Serena. — Dostałam ją od brata, Malcolma. On zna się na koniach. Masz ochotę na przejażdżkę, Alanno?

— Chętnie się przejadę. W domu nie mam na to czasu.

— W takim razie powiedz stajennemu, żeby ją dla ciebie osiodłał. Spodoba ci się wycieczka na południe. Zaraz za stajnię zaczyna się ścieżka prowadząca przez las. Dochodzi do rzeki, która o tej porze roku jest bardzo ładna.

— Dziękuję. — Alanna już chciała odejść, ale coś sobie uprzytomniła. — Ja... nie mam stroju do konnej jazdy.

— Hattie to załatwi. W mojej skrzyni znajdzie jeden ze strojów Amandy. Będzie na ciebie pasował.

— Dziękuję. — Zawróciła i objęła Serenę. — Jeszcze raz dziękuję.

Nie minęło pół godziny, jak siedziała w siodle.

Ian rzeczywiście poszedł z wędką nad wodę, ale wcale nie zależało mu na łowieniu ryb. Chciał w spokoju pomyśleć. Przez krótką chwilę miał ochotę udusić ciotkę za wtrącanie się w nie swoje sprawy, ale zanim się do tego zabrał, wtargnęła do jego pokoju i udzieliła mu tak ostrej reprimendy za okropne zachowanie, że mógł się już tylko bronić. Owszem, zachował się niegrzecznie wobec gościa. Ale tego właśnie chciał.

Już dawno siedziałby w siodle i pędził w kierunku Bostonu, gdyby nie wyglądało to na ucieczkę. Drugi raz już nie ucieknie. Niech ona wyjedzie, jeśli chce.

Wyglądała tak pięknie, stojąc w niebieskiej sukni na tle okna... Czy miało znaczenie, jak wyglądała? Przecież już *jej* nie chce. Niepotrzebna mu pyskata złośnica. Ma zbyt ważne zadanie do wykonania, żeby sobie nią zawracać głowę.

Niemal ją błagał, żeby przyjęła jego oświadczenia, zapomniał nawet o dumie. Spędziła z nim noc na sianie, oddała mu się, więc uwierzył, że coś dla niej znaczy. Postępował z nią tak delikatnie i cierpliwie. Jeszcze nigdy nie otworzył serca przed kobietą. A ona mu je złamała.

Miał nadzieję, że znajdzie sobie jakiegoś pantoflarza, którym będzie mogła pomiatać. A jeśli tak się stanie i on się o tym dowie, zabije łobuza gołymi rękami.

Usłyszał tętent końskich kopyt i zaklął. Jeśli to te dwa małe potwory, to zaraz odeśle je z powrotem do domu. Stał w groźnej postawie i przygotował się na spotkanie kuzynów.

Ale to Alanna wyjechała z lasu. Jechała bardzo szybko, co wzbudziło niepokój Iana. Włosy wysunęły się jej spod kapelusika i powiewały w pędzie. Osadziła konia tuż obok niego. Oczy kobiety błyszczały jak dwa niebieskie klejnoty.

Kiedy Ian już doszedł do siebie, zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

— Udało ci się wystraszyć wszystkie ryby w rzece. Nie wiesz, że niebezpiecznie jest jechać w nieznanym terenie z taką szybkością?

Nie na takie powitanie liczyła.

— Klacz dobrze znała drogę — odcięła się, czekając aż pomoże jej zejść na ziemię, Ian nie ruszył się z miejsca, wymruczała więc coś pod nosem i sama zeskoczyła. — Nie zmieniłeś się, MacGregor. Jak dawniej masz okropne maniery.

— Przyjechałaś aż do Wirginii, żeby mi to powiedzieć?

— Przyjechałam, bo zaprosiła mnie twoja ciotka

— odrzekła, przywiązując wierzchowca do drzewa.

— Gdybym wiedziała, że tu jesteś, moja stopa by tu nie powstała. Spotkanie z tobą zepsuło mi tę miłą wizytę. Nie wiem, jak ktoś taki jak ty może być spokrewniony z tak cudownymi ludźmi. Bardzo bym chciała, żebyś... — Przypomniała sobie, jakie postanowienie podjęła i ugryzła się w język. — Nie przyjechałam tutaj po to, żeby się kłócić.

— To chwała Bogu, bo strach pomyśleć, jak by wtedy wyglądała nasza rozmowa. — Uśmiechnął się lekko i podniósł z ziemi swoją wędkę. — A teraz wsiadaj na konia i ruszaj z powrotem.

— Chcę z tobą porozmawiać — upierała się,

— Powiedziałaś już więcej, niż chciałbym usłyszeć — warknął, ale wiedział, że jeśli dłużej będzie na nią patrzył, nie powstrzyma się i padnie przed nią na kolana.

— Ian, chciałabym tylko...

— Do diabła z tobą. — Ze złością rzucił wędkę.

— Jakie masz prawo tak mnie dręczyć? Gdybym cię przed wyjazdem zamordował, dzisiaj byłbym szczęśliwy. Udawałaś, że coś do mnie czujesz, a chodziło ci tylko o chwilę zabawy na sianie.

Pobladła jak ściana, ale już za chwilę jej policzki zalał rumieniec wywołany wściekłą furią.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić! — Rzuciła się na niego niczym dzika kotka, z zębami i pazurami.

— Zabiję cię za to, MacGregor. Bóg mi świadkiem.

Bronił się jak mógł, ale po chwili stracił równowagę i zatoczył się do wody, pociągając Alannę za sobą.

Zimna kąpiel wcale jej nie ostudziła. Nawet w wodzie zawzięcie okładała go pięściami i drapała. Poślizgnęła się na błotnistym dnie i runęła jak długa. a on za nią.

— Kobieto, przestań! Utopisz nas oboje! — wołał Ian. Krztusił się wodą, jednocześnie starając się przytrzymać Alannę na powierzchni, nie zauważył więc nadlatującej pięści. Po chwili usłyszał dzwonięcie w uszach. — Nie chcę myśleć, jak bym teraz wyglądał, gdybyś była mężczyzną.

Alanna zamachnęła się jeszcze raz, ale tym razem nie wcelowała i wpadła głową do wody.

Mieląc pod nosem przekleństwa wyciągnął ją na brzeg. Oboje wyczerpani i bez tchu położyli się na trawie.

— Zamorduję cię, jak tylko dojdę do siebie — oświadczył Ian, patrząc w niebo.

— Nienawidzę cię — wysapała Alanna, kiedy już wypluła rzeczną wodę z ust. — Przeklinam dzień, w którym się urodziłeś. I przeklinam dzień, w którym pozwoliłam ci się dotknąć tymi brudnymi łapskami. — Usiadła i poprawiła całkiem już zniszczony kapelusik.

Była taka piękna, nawet mokra i rozwściczona.

— O ile sobie przypominam, sama mnie prosiłaś, żebym cię dotknął — odparł lodowatym tonem.

— Owszem i teraz brzydzę się sama sobą.

— Zdjęła kapelusik z głowy i rzuciła nim w Iana.

— Żeby chociaż ta zabawa na sianie była bardziej udana.

— Co takiego? Więc uważasz, że nie była udana? — zapytał z niebezpiecznym błyskiem w oku, którego Alanna nie zauważyła, zajęta wykręcaniem wody z włosów.

— Wcale nie była udana. Prawdę mówiąc, gdybyś o niej nie wspomniał, zupełnie bym o wszystkim zapomniała. — Uniosła dumnie głowę i zaczęła wstawać, ale Ian natychmiast przyparł ją do ziemi.

— Pozwól więc, że odświeżę ci pamięć. Kiedy ją pocałował, wbita zęby w jego wargę.

Zaklął, objął ją mocniej i pocałował jeszcze raz.

Walczyła sama ze sobą, ale cudowne uczucie już zaczęło zalewać jej ciało. Usiłowała odepchnąć Iana, który przywarł do niej całym ciałem. Po chwili przetaczali się po trawie jak dwoje bijących się dzieci.

Nagle Alanna cicho jęknęła, otoczyła go ramionami i rozchyliła wargi. Jej miłość wybuchła z całą tłumioną siłą i znalazła ujście w tym pocałunku. Gorączkowo rozpinali guziki, zdejmowali mokre, ciężkie od wody ubrania. Po chwili słońce oświetliło ich nagie, wilgotne ciała.

Tym razem Ian nie był ani delikatny, ani cierpliwy, ale też i ona tego nie oczekiwała. Pod wiosennym niebem uwolnili się od gniewu i tęsknoty, nagromadzonej w sercach przez długie miesiące.

Całował ją, szepcząc obietnice i szalone prośby. Wdychał jej niepowtarzalny zapach, który tak go prześladował. Gładził aksamitną jasną skórę, o której marzył po nocach.

Kiedy przywarła do niego mocniej, podsycając płonący w nim ogień, wszedł w nią natychmiast. Szepcząc swoje imiona dążyli do szczytu, aż wreszcie oboje znieruchomieli.

Ian wsparł się na łokciu i pogładził Alannę po twarzy. Spostrzegła, że w jego oczach znów pojawił się błysk gniewu.

— Tym razem nie dam ci wyboru — oświadczył. — Wyjdiesz za mnie, czy tego chcesz, czy nie.

— Przyszłam tu dzisiaj, żeby...

— Nie obchodzi mnie, co mi chciałaś powiedzieć — przerwał jej gwałtownie. Zaprzedał się jej ciałem i duszą. Nie zostawiła mu nic, nawet dumy. — Możesz kłać, na czym świat stoi, ale będziesz moja. Już jesteś moja. I przyjmiesz mnie takiego, jakim jestem.

Zacisnęła zęby.

— Pozwól mi powiedzieć choć słowo — wycodziła.

Był tak zdesperowany, że wcale jej nie słyszał.

— Nie pozwolę, żebyśmy znów się rozstali. Nigdy nie powinienem był do tego dopuścić, ale ty potrafisz doprowadzić człowieka do szału. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Nie potrafię tylko zapomnieć, że mam sumienie. Nawet dla ciebie tego nie zrobię.

— Nie proszę cię o to i nigdy nie prosiłam. C h c ę ci tylko powiedzieć...

— Co mnie tak uwiera w pierś? — zapytał niecierpliwie. Namacał zwisający u jej szyi złoty pierścionek MacGregorów. Spojrzał na niego z zastanowieniem. — Dlaczego... — zaczął, ale głos mu się załamał. — Dlaczego go nosisz? — dokończył po dłuższej chwili.

— Właśnie to chciałam ci powiedzieć, ale nie dopuściłeś mnie do głosu.

— Teraz cię dopuszczam, więc mów.

— Zamierzałam ci go oddać, ale nie mogłam. Wydawało mi się nieuczciwe nosić go na palcu, więc powiesiłam go na tasiemce i nosiłam na sercu, tam gdzie i ciebie. Nie, do diabła, pozwól mi dokończyć — warknęła, gdy otworzył usta. — Wydaje mi się, że już tego ranka, kiedy odjechałeś, wiedziałam, że postąpiłam źle. To ty miałeś rację.

Na jego twarzy zaczął się błąkać cień uśmiechu.

— Wciąż jeszcze dzwoni mi w uszach. Mogłabyś to powtórzyć?

— Powiedziałam raz i nie będę powtarzać. Nie chciałam cię pokochać, ponieważ tak wielka miłość napawała mnie strachem. Straciłam Rory'ego na wojnie, potem umarła mama i biedny Michael Flynn. Oni wiele dla mnie znaczyli, ale ty znaczyś jeszcze więcej. — Pocałował ją delikatnie, ale nie dała sobie przerwać. — Wydawało mi się, że pragnę tylko spokojnego domu, rodziny i męża, któremu wystarczą wieczory przy kominku. Zdaje się jednak, że tak naprawdę



pragnęłam mężczyzny, któremu spokojne życie nigdy by nie wystarczyło, który chce walczyć z wszelkim złem tego świata. U boku takiego mężczyzny stanęłabym z dumą.

— Teraz nie czuję się ciebie godny — powiedział opierając czoło na jej czole. — Powiedz mi tylko, że mnie kochasz.

— Kocham cię, Ianie MacGregor. Teraz i na zawsze.

— Przysięgam, że dam ci dom i rodzinę, i że będę siadywał z tobą przy kominku, kiedy tylko będę mógł.

— A ja przysięgam, że będę walczyła wraz z tobą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zerwał jej pierścionek z szyi i patrząc jej prosto w oczy, wsunął go na jej palec.

— Nie zdejmuj go już nigdy.

— Nie zdejmę — przysięgła biorąc go za rękę. — Odtąd należę do klanu MacGregorów.

## EPILOG

*Boston, Wigilia Bożego Narodzenia, 1774*

Żadna siła nie mogła zmusić Iana do opuszczenia sypialni, w której przychodziło na świat jego pierwsze dziecko. Widok zmagającej się z porodem żony sprawiał, że zamierało w nim serce, ale nie ugiął się. Nawet ciotka Gwen, obdarzona dużą siłą perswazji, nie zdołała go namówić, żeby wyszedł.

— To również moje dziecko — upierał się. — Nie opuszczę Alanny. dopóki poród się nie skończy.

— Miał nadzieję, że starczy mu odwagi, żeby dotrzymać tej obietnicy. — Wierzę w twoje umiejętności, ciociu. Przecież gdyby nie ty, nie byłoby mnie na świecie.

— Nic nie wskórasz, Gwen — prychnęła Serena.

— Jest uparty jak każdy MacGregor.

— W takim razie trzymaj ją za rękę, kiedy nadchodzą bóle. To już długo nie potrwa.

Alannie udało się uśmiechnąć, kiedy mąż stanął u jej boku. Nie wiedziała, że przyjście na świat takiej małej istotki trwa tak długo. Cieszyła się, że jest przy niej mąż i ciotka, która pomogła przyjść na świat wielu dzieciom. Mąż Gwen był lekarzem, ale nie mógł pomagać przy porodzie, ponieważ dostał pilne wezwanie do chorego.

— Zaniedbujesz gości — zwróciła się Alanna do męża, wypoczywając między skurczami.

— Dadzą sobie radę sami — zapewniła ją Serena.

— Nie wątpię — wyszeptała zamykając oczy, a Gwen przetarła jej czoło chłodnym ręcznikiem. Cieszyła się, że cała rodzina, Murphy i Langstonowie, przyjechała do nich na święta. Podczas tych pierwszych świąt w kupionym przez Iana domu nad rzeką chciała pełnić honory gospodyni, ale dziecko pośpieszyło się o trzy tygodnie i pokrzyżowało jej plany. Kiedy nadeszła kolejna fala bólu, kurczowo ścisnęła dłoń Iana.

— Spokojnie, pamiętaj o oddychaniu — przypomniła ciepło Gwen. — Dzielna dziewczyna.

Bóle były coraz częstsze i silniejsze. Ich pierwsze dziecko urodzi się w święta i będzie dla nich najcenniejszym podarunkiem. Kiedy skurcz ustąpił, zamknęła oczy i słuchała dodającego jej otuchy głosu Iana.

Był porządnym człowiekiem i dobrym mężem.

To prawda, życie nie płynęło jej spokojnie, ale za to było ciekawe, Ianowi udało się zaszczepić jej swoje ideały. A może zawsze miała w sobie buntowniczego ducha, tylko nie było okazji, żeby się ujawnił? Z zainteresowaniem słuchała opowieści o tajnych spotkaniach i rozpierała ją dumą, kiedy inni pytali Iana o radę. Zgadzała się z nim, że rządy Anglików są okrutne i niesprawiedliwe.

To, czego dokonał w Bostonie jej mąż, było słuszne. Czasem pochopny czyn okazuje się najwłaściwszy. Przecież inne miasta i prowincje poparły Boston, tak samo jak teraz cała rodzina z Ianem na czele dodawała jej otuchy w trudnych chwilach porodu.

Wspomniała ich miesiąc miodowy w Szkocji. Poznała jego rodzinę i chodziła po lasach, w których spędził dzieciństwo. Kiedyś zabierze tam własne dziecko, żeby pokazać mu jego — albo jej — korzenie. Pojadą też do Irlandii, myślała, choć ból znów zamać jej myśli. Dziecko nie może zapomnieć o przodkach, a w przyszłości powinno samo decydować o swoim losie. Ich walka zapewni mu taką możliwość.

— Już widać maleństwo. — Gwen uśmiechem dodała Ianowi otuchy. — Uważaj, zaraz zostaniesz tatusiem.

— Rodzi się nasze dziecko, a wkrótce narodzi się nasz naród — powiedziała z trudem Alanna, wpatrując się w męża.

Chociaż strach o żonę go nie opuszczał, musiał się roześmiać.

— Pani MacGregor, jest pani bardziej zaangażowana w politykę niż ja!

— Nic nie robię połowicznie. Ależ to dziecko dzielnie walczy o przyjście na świat. — Poszukała ręki męża. — Jaki ojciec, taki syn.

— Albo jaka matka, taka córka — wymamrotał, patrząc w desperacji na Gwen. — Ile to jeszcze potrwa? Ona tak bardzo cierpi.

— Już niedługo — uspokoiła go i zaraz syknęła z irytacją, kiedy rozległo się pukanie.

— Nie przejmuj się. — Serena bojowo ruszyła do drzwi. — Zaraz ich stąd przegonię. — Ze zdziwieniem zobaczyła w progu swojego męża. — Brig, dziecko właśnie wydobywa się na świat. Nie mam teraz czasu.

— Na pewno znajdziesz chwilę, kiedy usłyszysz, o co chodzi. — Wszedł do środka i objął żonę ramieniem. — Właśnie dostałem wiadomość z Londynu.

— Przekłete wiadomości z Londynu — wymruczała Serena.

— Wuju, takie wiadomości mogą zaczekać... — jęknęła Alanna.

— Ian, ty też powinienesz to usłyszeć.

— W takim razie mów szybko i zmykaj stąd — warknęła Serena.

— W zeszłym miesiącu parlament rozpatrzył naszą petycję. — Brigham wziął żonę za ramiona i spojrzał jej w oczy. — Akt proskrypcyjny został uchylony. Nazwisko MacGregor nie jest już wyjęte spod prawa.

Oczy Sereny wypełniły się łzami. Z serca spadł jej ciężar, który nasila całe życie.

— Gwen, Gwen, słyszałaś?

— Tak, słyszałam, ale w tej chwili nie mam do tego głowy.

Serena podbiegła do łóżka, ciągnąc za sobą męża.

— Pomożesz nam, skoro już tu jesteś — oznajmiła.

Po kilku chwilach rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów, oznajmiający północ i początek świąt. Zmieszał się z głośnym płaczem dziecka, które w ten sposób zawiadamało o swoim przyjściu na świat.

— Syn — oświadczyła Gwen, trzymając w ramionach wierzgającego noworodka.

— Czy wszystko z nim w porządku? — Wyczerpana Alanna wsparła się na ramieniu Brigham. — Jest zdrowy?

— Niczego mu nie brakuje — zapewniła ją Serena ocierając łzy. — Za chwilę ci go podamy.

— Kocham cię — wyszeptał Ian i pocałował żonę w rękę. — Dałaś mi najwspanialszy prezent pod słońcem.

— Zobacz swojego syna. — Gwen podała mu dziecko.

Oszołomiony spoglądał to na synka, to na żonę. Ten obraz chciał zapamiętać na całe życie.

— Jest taki maleńki — wzruszył się.

— Urośnie. — Serena uśmiechnęła się do męża.

— Dzieci szybko rosną. — Otoczyła ramieniem siostrę i z czułością patrzyła, jak Ian podaje syna Alannie.

— Jaki piękny — zachwyciła się. Przyciągnęła do siebie Iana. — W zeszłe święta daliśmy sobie w prezencie siebie samych. Teraz dostaliśmy syna.

— Delikatnie pogładziła ciemny meszek na główce noworodka. — Ciekawe, co przyniosą następne święta.

— Zostawimy was teraz samych — odezwał się Brigham, biorąc pod rękę żonę i szwagierkę.

— Zejdziemy na dół, do gości.

— Przekażcie im nowinę. — Ian wstał, a Alanna podała mu dziecko. — Powiedzcie im, że w ten świąteczny wieczór urodził się Murphy MacGregor. — Ucałował syna i wyciągnął przed siebie małe zawiniątko, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Malec wydał z siebie głośny, zdrowy krzyk. — Będzie chodził po wolnej ziemi i będzie z dumą wypowiadał swoje nazwisko. Powiedzcie to wszystkim.

Alanna spojrzała na męża.

— Tak, powiedzcie im to w imieniu nas obojga.

KONIEC